AS



Nr. 42 16. X. 1938

CENA 40 GROSZY

—

W PELERYNIE AFRYKAŃSKIEGO WODZA



Legjon Zaolzański, obozujący na polach pod Karwiną.



Orkiestra górników karwińskich wyrusza na spotkanie naszych wojsk.

NA WYZWOLONYCH ZIEMIACH ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

Są takie tragedje i takie radości, które zdarzają się raz jeden w życiu. — Śląsk Zaolzański raz jeden przeżył taką tragedję, gdy przemocą został włączony do Czechosłowacji — a obecnie, po latach 20, przeżył radość, jaką raz się tylko przeżywa: powrotu do Ojczyzny.

Nic więc dziwnego, że ziemia ta, odwiecznie polska i do Polski tęskniąca, pulsuje dzisiaj jak serce człowieka, które przepełniło się wzruszeniem aż po brzegi. Unosi się nad tą ziemią radosny cień białoczerwonych sztandarów, a wszystkie drogi i ulice, przez które przeszła armja polska, zasłane są takiem morzem kwiatów, że nikt nie wierzy, iż to jesień właśnie. — Nie! dla tej ziemi jest to wiosna, wiosna odrodzenia, wiosna wolności!

Nad Śląskiem Zaolzańskim dzisiaj słońce — i nad Rzecząpospolitą...



Przemarsz oddziałów armji polskiej przez zabytkowy rynek Frysztatu.





Od lewej: Fragmenty defilady, jaka odbyła się przed generałem Bortnowskim i wojewodą Grażyńskim po zajęciu Karwiny.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 42 Niedziela, 16 października 1938 Rok IV

ASY NUMERU 42-GO:

DYLIŻANSEM PO WARSZAWIE.
W stolicy, która dąży do „odkrycia" swej przeszłości, odkopano i odrestaurowano dawne mury obronne miasta i uruchomiono zabytkowy dyliżans, dowożący tam „szlakiem prababek" żądnych sensacyj archeologicznych.
Str. 4—5.

MALARZ UŚMIECHU.
O życiu i dziełach głośnego mistrza pendzla, Frans Halsa.
Str. 6.

Nowy Konkurs Magazynu „As":
JAK SPĘDZAM WAKACJE?
Pięć najoryginalniejszych zdjęć otrzyma cenne nagrody. Str. 11

ILUZJONISTA - AMATOR POPISUJE SIĘ SWĄ SZTUKĄ W SALONIE.
Dalszy ciąg fachowych wskazówek, które umożliwią zainteresowanym zgłębienie tajemnicy niejednej sztuki magicznej i ułatwią demonstrowanie jej potem w salonie wobec znajomych.
Str. 14—15.

W MUROWANEJ PIWNICY TAŃCOWALI ZBÓJNICY...
Orły ze Spisza i Orawy przygotowują się do lotu do Ojczyzny.
Str. 16—17.

Przyroda odzyskanych ziem:
CIESZYNIANKA I CIESZYNITY.
O bogactwie flory Śląska Cieszyńskiego, która obejmuje rzadkie odmiany roślin i drzew, oraz o układzie geologicznym jego ziem.
Str. 18—19.

Przebój muzyczny „Asa":
SPOJRZAŁEM W TWE OCZY...
Slow-fox Wiktora Milewskiego. — Słowa Witolda Zechentera.
Str. 22.

VIS A VIS CAMPIONE JEST RAJ...
Do wyjątkowo pięknych miejscowości w Europie należy Lugano, przez które przewija się najbarwniejsze życie międzynarodowego high-life'u. Str. 28—29.

Nowele. — Kącik filatelistyczny. — Życie artystyczne. — Kosmetyka. — Roboty ręczne. — Dział gospodarstwa domowego. — Humor. — Rozrywki umysłowe. — Na scenie. — Nowe książki. — Program radjowy.



Niezapomniane chwile przeżywały ziemie Śląska Cieszyńskiego, którego ludność entuzjastycznie witała wkraczające oddziały armji polskiej i ich dowódcę generała Bortnowskiego, widząc w nich reprezentantów potęgi i majestatu Rzeczypospolitej. (Na drugim planie huty w Trzyńcu).



Dyliżansem PO WARSZAWIE

To było naprawdę niecodzienne zdarzenie...

Poczta wręczyła mi dziwne pismo, które z trudem przyszło mi w pierwszej chwili odczytać i zrozumieć. Brzmiało ono:

„Societas grodu naszego Miłośników wiadomem JMĆ Panu, dobrodziejowi swemu, tudzież i miłej sercu jego białogłowie, czyni, a takoż suplikę wdzięczną uniżenie wnieść się ośmiela o zaszczycenie przytomnością swą upraszając Excursyi, w wieku naszym XX-tym zgoła extraordynaryjnej natury, sub titulo „Szlakiem Prababek", którą w dniu...., anno domini 1938, dyliżansem grzecznym, o godzinie 10-tej rannej wyruszającym, po starych oppidi nostri uliczkach, gwoli zabytków przez ojców naszych pozostawionych obeźrzenia, się uskuteczni...".



Na lewo: Charakterystyczne sylwetki woźnicy i trębacza dyliżansu.



Na lewo: STARE MIASTO: Katedra św. Jana.

Dyliżans, kursujący dziś regularnie po Warszawie, obok tramwajów, autobusów i tysięcy taksówek... Rzecz istotnie.... „ekstraordynaryjna"!

Każde szanujące się miasto musi mieć swoją tradycję, swoje stare mury obronne, swoje legendy. Warszawa, którą w pierwszych latach niepodległości ogarnął przemożny pęd do nowoczesnej rozbudowy miasta, tworzenia nowych dzielnic, poszerzania ulic, zapomniała narazie o swej przeszłości — jeśli pominąć pokrycie polichromją rynku Starego Miasta, które w swoim czasie spowodowało tak wielką dyskusję i polemikę.

Gdy wreszcie przyszedł czas na dodanie glorji miastu, przez przypomnienie współczesnym świetnej przeszłości, Warszawa miała niemało kłopot z ustaleniem genezy swej nazwy, jak również z historją swego herbu i stwierdzeniem, skąd wzięła się w nim Syrena!

Chociaż nie jest do szczęścia potrzebną wiadomość, iż nazwa Krakowa pochodzi od imć króla Kraka, Grodna od grodu książęcego, Lwowa od, powiedzmy, lwów, stojących do dziś przed lwowskim ratuszem, to jednak umysł ludzki zawsze dążyć będzie do owego wielkiego odkrycia — „jak to było na początku". Legendy o nazwie Warszawy są tak naiwne, że aż nieprawdopodobne, a historycy dowiedli ich późnych narodzin, co dowodzi, że niema się tu do czynienia z oryginalną klechdą ludową, lecz sztucznie wytworzonem podaniem.

Na lewo: Dyliżans mija Plac Teatralny.



Oto jak wygląda trasa dyliżansu, nazwana „szlakiem prababek".

Jedną z legend powiada, iż na miejscu, gdzie rozsiadły się dzisiaj Marszałkowska i Krakowskie Przedmieście, mieszkała para bliźniąt, Wars i Sawa, które ochrzcił temi imionami któryś z książąt polskich. Ze względu na wybitny brak pierwiastka polskiego w imionach bliźniąt, baśń ta pozbawioną jest podstaw historycznych. Druga legenda, której autor jest nawet znany (ksiądz Chmielewski) twierdzi, że mieszkała tu kobieta imieniem Sawa, która gotowała czyli warzyła strawę dla przejeżdżających Wisłą flisaków. Wołali oni, przypływając do miejsca, gdzie dziś znajduje się most Kierbedzia: „Warz Sawo!" Stąd miała powstać nazwa Warszawy. Podanie to jest zgoła fantastyczne.

Najprawdopodobniejszą teorją powstania nazwy Warszawy, to nawiązanie do imienia Warsz, które występuje w średniowiecznej Polsce, często jest zaś używane przez ród Rawiczów.

Niemniejszych kłopotów przyczyniła Syrena w herbie Warszawy. Jak twierdzą, przed wiekami miała mieć w herbie świętego Jerzego. Z biegiem lat dostojnego patrona miasta wyrugowała z pieczęci miejskiej... skrzydlata półjaszczurzyca, boginka Wisły. Według

podań ludowych, boginka ta nigdy nie posiadała postaci pięknej syreny, lecz brzydkiej baby, żony topielca. Piękna syrena, z kształtnym torsem i starannie „zaondulowana" zjawia się w herbie Warszawy dopiero w XVIII wieku.

Majestat początków miasta musiał się więc odnaleźć w innej dziedzinie. Szukano bardzo cierpliwie, grzebano, kopano i.... prawie znaleziono.

Burzenie nowych kamienic i wykopywanie zmurszałych murów jest dziś w Europie bardzo modne. W Rzymie, gdzie zabytków mają więcej niż potrzeba, aż na eksport, kopie się ciągle i rozgłasza o tem całemu światu. W Warszawie, po zburzeniu kilku kamienic i ruder, dokopano się szczątków starych murów obronnych z XIII i XIV w. Jest to sensacja urbanistyczna i historyczna, a niemniej turystyczna. O sprawie tej mało jeszcze wiadomo, a wielu mieszkańców stolicy do dziś jeszcze nie zdaje sobie sprawy, gdzie te mury właściwie się znajdują.



STARE MIASTO: Rynek.

Opiekunowie miasta wynaleźli wspaniały i bardzo miły sposób, zachęcający do zwiedzenia tego nowego starego zakątka miasta. Puścili w ruch stary... dyliżans. Oryginalny wehikuł, wyszukany żmudnie gdzieś na zapadłej prowincji, kursuje dziś w Warszawie pomiędzy Placem Teatralnym a Starem Miastem i zawozi „imć dobrodziejów i miłe sercom ich białogłowy" na ulicę Dunaj Szeroki, skąd wejście do starodawnych murów obronnych. A oto ich krótka historja:

Warszawę otaczały w średniowieczu dwa mury. Jeden, od strony miasta, wyższy i przed nim drugi jeszcze mur, niższy. Taki układ dwóch murów, jednego przed drugim, miał swoje uzasadnienie w tem, że obrońcy miasta mogli stać w dwóch szeregach, jedni za drugimi. Ci z drugiego muru, bliższego miastu, strzelali ponad głowami obrońców, walczących na pierwszym murze. W razie zdobycia muru pierwszego, ostawał się jeszcze mur drugi.

Badania wykazały, iż mur bliższy miastu, wyższy, powstał już w XIII wieku. Następny około sto lat później.

Pomiędzy murami powstawała wolna przestrzeń, zwana międzymurzem. Miasto, które dusiło się w ramach, nakreślonych pierścieniem murów, z biegiem czasu zezwoliło na zabudowanie owego międzymurza. Zrazu prowizorycznymi domkami drewnianymi, które można było szybko zburzyć w razie oblężenia, a wreszcie — solidnemi kamienicami. Zasypano wkońcu fosę, rozciągającą się wzdłuż przedniego muru i ustawiono nowe domy. Dla oszczędności, mając gotowy, zbędny, a solidny i gruby mur obronny, budowano je bez tylnej ściany, opierając się o dawne fortyfikacje.

Odkryta i udostępniona obecnie w Warszawie dla zwiedzającej publiczności partja murów staromiejskich, pokazuje wspaniale owo międzymurze: mur wewnętrzny, mur zewnętrzny, a nawet sposób obudowania murów przez kamienice mieszkalne. Ma to wiele poezji. Średniowiecze i czasy nowożytne połączone w jedną całość, zmurowane w jeden gmach... gmach tradycji, trwałej, niepokonanej....

Roman Burzyński.



Na granicy starej i nowej Warszawy.



Fragment murów obronnych stolicy.



Odkopany most nad fosą w pobliżu bramy Nowomiejskiej.



Juljusz Kossak: Omnibus warszawski.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA MAGAZYN „AS"

MALARZ UŚMIECHU



Portret Van Verdoncka, pendzla Frans Halsa. (National Galery of Scotland, Edynburg).

Każdy kataklizm dziejowy pociąga za sobą pewne zmiany tak w życiu politycznem, kulturalnem, jak i społecznem. To też kiedy w Niderlandach dokonał się polityczny podział w końcu XVI w. na Flandrję i Holandję, odegrało to w życiu tych narodów rolę zasadniczą. Dwa te odrębne kraje stworzyły też i odrębną kulturę. Ale i tu w kształtowaniu się psychiki społeczeństwa działały znowu wypadki dziejowe, które wciągnęły je w inną sferę zainteresowań.

Kiedy nad Holandją zawisła groza zaborczej Hiszpanji, potrafili jej mieszkańcy wywalczyć niepodległość i utworzyć demokratyczne i niepodległe państwo. Nowa sytuacja polityczna — wywarła swój wpływ na całej kulturze tego kraju, co znalazło swój wyraz i w malarstwie.

Wystarczy spojrzeć na dzieła malarzy tego okresu — Halsa, Rembrandta, Brouwera i innych. Ich ulubionym tematem jest t. zw. „szary człowiek" tej epoki. Chłop w karczmie, pospolity mieszczanin, który chętnie się daje portretować gwoli zaspokojenia swej ambicji, biedne i znękane pospólstwo, wytworni panowie — oto tematy obrazów tego okresu. Dokonał się więc zupełny odwrót od sztuki religijnej, która aczkolwiek istnieje, to jednak nie absorbuje do tego stopnia umysłu malarza, jak poprzednie tematy.

Jednym z pierwszych malarzy, który stworzył ten kierunek — był Frans Hals. O jego życiu skąpe pozostały wiadomości, W niewielu monografjach znajdujemy szereg wiadomości, które i tak nie rozwiązują zagadki jego tajemniczego życia prywatnego, bogatego podobno i impulsu jego twórczości. — Właściwą charakterystyką Halsa jest jego twórczość, którą uczcił naród holenderski wspaniałą wystawą w Harlemie.

Przechodząc przez sale wystawowe, zapominamy o tem, że Hals był człowiekiem trochę za wesołym, jak pisze jego najstarszy biograf — „etwas zu lustig". Dziwnem jest a jednak typowem, że malarz o tak potężnej indywidualności przymierał nieraz głodem z nędzy, ale taki widać już jest los wartościowych ludzi.

Cała twórczość Halsa, jego wspaniałe portrety bądź to pojedyncze, bądź zbiorowe, uśmiechnięte twarze dzieci i rozzuchwalonych chłopców i wszystkie inne tryskające śmiechem i radością — świadczą, że tragedja życia nie uszczupliła jego humoru.

Poniżej: „Wesołe towarzystwo", obraz F. Halsa z lat 1616—1620.



Poniżej: „Śmiejące się dziecko".



Poniżej: „Człowiek z lutnią" (Galerja obrazów bar. Rotschilda — Paryż).



Roześmiane twarze w jego obrazach harmonizują początkowo ze złocistym tonem jego palety malarskiej. Później, kiedy koło 1630 roku przechodzi w ton popielaty, a około 1640 pod wpływem Rembrandta rozwija różnorodność tonów, które z czasem stają się prawie czarne — ten uśmiech, który Hals oddaje po mistrzowsku, wyodrębniają się jeszcze dobitniej z ciemnego tła obrazu.

Wystarczy rzucić okiem na parę płócien tegorocznej wystawy w Harlemie: w każdej twarzy uchwycony jest jej psychologiczny wyraz. Nawet, gdy maluje całe grupy portretowe, każda postać żyje, każda myśli.

Oto grupa oficerów, malowana w 1616 roku: twarze zadowolone jaśnieją dobrodusznym uśmiechem. Widocznie zadowoleni są z biesiadnego stołu, suto zastawionego smacznemi potrawami.

Psychologiczne ujęcie śmiechu i przedstawienie go w różnych gradacjach ujawnia się jednak najdobitniej w portretach jednej osoby lub w grupach dwu- trzech osobowych.

Już w obrazach z pierwszego okresu jego twórczości, ten rys tak charakterystyczny dla Halsa zaznacza się bardzo silnie. Tak np. w obrazie z lat 1616—1620, przedstawiającym „Rozbawione towarzystwo", twarze zdradzają zadowolenie. Oczy są roześmiane, a żywa gestykulacja rąk wskazuje, że dyskusja płynie wartkim prądem.

Weźmy znowu inne jego dzieło z roku 1620—1623, przedstawiające portret van Verdonck'a. Portretowany ma wprawdzie twarz osłoniętą dużą brodą i wąsami, ale wyraz jego oczu jest pełen uśmiechu.

A chłopcy rybacy — pełni radości życia, których uśmiech jest wyrazem ich młodego temperamentu i beztroskiego życia! Że uśmiech interesował Halsa jako problem malarski, przemawia za tem bardzo wiele jego studjów, oddających śmiejących się chłopców w różnorodnych fazach. Przeglądając te różne typy, zadziwia nas umiejętność psychologicznego podejścia do tak wielorakiej gradacji uśmiechu.

Hals — to świetny psycholog, który stara się ująć pojęcie śmiechu i oddać go w różnych „wydaniach". Obserwuje go u młodych chłopców, u starszych panów, u głupca, u grającego na mandolinie, u dziecka, u niewiasty poważnej i pełnej życia, mieszczanina itd. Jest to dla niego problem interesujący, który po mistrzowsku rozwiązuje.

Technika malarska Halsa jest doskonała. Nie ma on czasu na bawienie się drobnostkami, lecz szerokiemi pociągnięciami pendzla zmierza do swego celu: byle prędzej, byle tragizm życia codziennego nie zmącił tego uśmiechu.

Sztuka Halsa — to jakby zadokumentowanie pogodnego życia i beztroski: dziwne, że tyle radości zdołał ze siebie wykrzesać człowiek, którego życie prywatne nie było usłane różami. Przechodząc sale wystawowe — nasuwa się słuszne określenie Halsa — jako malarza uśmiechu.

Dok. na str. 7-ej.

Obrazy tego mistrza, które były na wspaniałej wystawie w Harlemie zostały, jak mnie dyrektor p. Gramata, poinformował, w większej części odnowione. Odnawianie to polega na tem, że zdejmuje się z tych obrazów wielkie ilości werniksu, który w ciągu wielu reperacyj bywał nakładany, powodując utratę właściwego kolorytu. Teraz przez zdejmowanie pewnych partyj werniksu, który wpływał w dużym stopniu na zmianę kolorytu, dając zupełnie inny ton jego obrazom, odzyskuje się dawną patynę.

Werniks bowiem żółty dawał fałszywe tony, bo przez nałożenie go np. na kolorze niebieskim otrzymywał obraz w tych miejscach kolor zielony.

Metoda ta może prowadzić i do błędnych rezultatów, wiadomo bowiem, że już i w czasach Halsa obrazy były werniksowane, co nie wyklucza, aby już w epoce powstawania tych dzieł efekty, które dzisiaj uważa się za fałszywe, nie były właściwym celem artysty.

P. G.



NAJCZĘŚCIEJ PRZYCZYNĄ NIEMIŁEGO ODDECHU SĄ ZĘBY !

OTO JAK PASTA DO ZĘBÓW COLGATE ZWALCZA NIEMIŁY ODDECH I NADAJE ZĘBOM OLŚNIEWAJĄCY BLASK.

Próby dokonane wśród 2,152 mężczyzn i kobiet (różnego wieku i z różnych sfer) wykazały, że 76% ludzi w wieku powyżej 17 lat ma niemiły oddech, który zazwyczaj pochodzi z nieodpowiednio czyszczonych zębów.

Zwykłe sposoby czyszczenia zębów, polegające na czyszczeniu zewnętrznej powierzchni, zawodzą, gdyż chodzi o usunięcie psujących się resztek, które są po części źródłem niemiłego oddechu i zepsutych zębów.

Pasta do zębów Colgate, dzięki swej przenikającej pianie dociera do szczelin między zębami, usuwając resztki jedzenia i kwasów, powodujących niemiły oddech. Jednocześnie, delikatnie polerujące składniki pasty Colgate, łagodnie, lecz gruntownie, czyszczą emalię, nadając olśniewający blask Twym zębom. Czyść więc zęby pastą Colgate, przynajmniej 2 razy dziennie a staną się one czyściejsze i bielsze, a oddech Twój przyjemny i świeży.

DZIECI UWIELBIAJĄ JEJ ORZEŹWIAJĄCY SMAK.



Seans

WANDA DE RICHE

NOWELA

— Nie podzielam twojego zdania — odezwałem się, wzruszając ramionami. — Wszelkie starania, mające na celu przedstawienie Samuela Zborowskiego w korzystnem świetle są chybioną próbą apoteozowania warcholstwa.

Poprawił włosy na skroni ruchem nerwowym i nawiązując do ostatniej mojej uwagi, odrzekł po chwili z odcieniem melancholji:

Widzisz — próbował się tłumaczyć — tragedja Zborowskiego stanowi dla mnie z punktu widzenia osobistego szczególny problem...

— Osobistego? — zapytałem.

Zapytanie przyprawiło go o zakłopotanie.

— To cała historja. I nie wiem, czy potrafię opowiedzieć ci ją tak, abyś mnie dobrze zrozumiał. Oglądałem śmierć Zborowskiego na własne oczy...

Wypowiedział te słowa z takiem wzruszeniem, że mimowoli wzdrygnąłem się. — Co mówisz? — Przecież to niemożliwe! — rzekłem.

— Oglądałem śmierć Zborowskiego na własne oczy — powtórzył z naciskiem. — Okoliczności, w jakich do tego przyszło, były rzeczywiście niezwykłe...

Pozwoliłem mu rozpocząć opowiadanie. Mówił tonem nieśmiałym, ożywiając się stopniowo w miarę, jak zdradzałem coraz większe zainteresowanie.

Słowa jego budziły w załamach murów tajemnicze szelesty i głuche echa, które zdawały się wtórować głośniejszym ustępom opowieści. Czy mówił prawdę? Czy też ułożył tę fantastyczną historję dla zabawienia mnie i siebie? Któż to może wiedzieć.

Zbliżała się noc. Czuć ją było w powietrzu, jakkolwiek minęła godzina siódma. Od schodów i korytarzy przenikał chłód coraz większy. Cienie wydłużały się dziwacznie w promieniach zachodzącego słońca, a na szaro-błękitnem niebie ukazało się blade widmo gwiazdy wieczornej.

A on mówił..........

— — — — — — — —

Ilekroć rozmyślałem o latach szkolnych, wyłaniała się przede mną postać kolegi mojego i przyjaciela Stefana Barskiego. Mój Boże! Przeżycia dzieciństwa wydają mi się dziś niegodnemi uwagi. Smutki i radości owych czasów zatraciły już dawno swoją żywotność. Nie mógłbym określić, na czem polegała nasza przyjaźń i co mnie łączyło ze Stefanem. To pewne, że nie zgodność charakterów. Nie byłem nigdy marzycielem. Wspólne upodobania? Chyba nie. Sądzę, że poprostu czułem potrzebę omawiania z nim wrażeń i przeżyć właściwych dorastającym chłopcom; a Stefan wydawał mi się najlepszym powiernikiem.

Życie rozłączyło nas zaraz po ukończeniu studjów i od tego czasu nie miałem o Barskim żadnych prawie wiadomości. Mówiono, że podróżuje i że przeprowadza na zlecenie Instytutu Metapsychicznego w Wiedniu jakieś doświadczenia. Już w czasie wojny światowej dowiedziałem się o jego pobycie w Buenos Aires, gdzie podobno się ożenił z jakąś pięknością kreolską. Sądziłem zresztą, że nie zobaczymy się już nigdy w życiu.

A jednak los zrządził inaczej.

Zdarzyło się, że w kilka miesięcy po zawarciu pokoju, w czasie mej bytności w Rzymie, obiło mi się o uszy po raz pierwszy nazwisko profesora Otta, znakomitego hipnotyzera. Ludzie opowiadali cuda o jego doświadczeniach, jakkolwiek świadkami ich było tylko szczupłe grono wybranych.

W dwa lata później, w czasie podróży służbowej do Budapesztu spotkałem w przedsionku naszego poselstwa eleganckiego mężczyznę. — Stefan! — zawołałem. — A cóż ty tu robisz? — Uściskał mnie serdecznie. Zaczęliśmy rozmawiać. I wtedy dowiedziałem się, że przyjął pseudonim i że zwie się obecnie Ott, że jest człowiekiem majętnym i mającym rozległe stosunki. — Ktoś mi wspominał o twym ożenku? — wtrąciłem. — Tak, ożeniłem się przed sześciu laty — odparł. — I jesteś szczęśliwy? — zapytałem. Dał mi odpowiedź wymijającą. — Ożeniłem się z miłości. Przedstawię cię mojej żonie. Sądzę, że zjesz z nami obiad.

Nie oponowałem, a gdybym nawet chciał, jestem pewny, że przekonałby mnie bez trudności. Przecież nie widzieliśmy się tyle lat!

Mieszkał z żoną przy ulicy Królewskiej w małem ale gustownie urządzonem mieszkanku. Pani Inez Ott recte Barska przyjęła mnie nadzwyczaj uprzejmie. Jeden rzut oka na piękną twarz, czarne, płomienne oczy i zmysłowe, kuszące usta tej kobiety pouczył mnie, że Stefan mógł stracić dla niej głowę. Ale i ona robiła wrażenie zakochanej. Przyznam się, że nie widziałem bardziej dobranej pary.

Spędziłem w ich domu kilka miłych godzin. Stefan opowiadał mi o sobie, o poznaniu z żoną, o swym pobycie w Ameryce, a ona darzyła mnie od czasu do czasu powabnym uśmiechem, przechylając zalotnie swą zgrabną główkę i potrząsając lokami o czerni, przechodzącej w granat, jakby chciała podkreślić, że wszystko to są rzeczy bez znaczenia i że prawdą jest tylko jej miłość dla niego. Gwarzyliśmy do późnego wieczora, a że pani Inez władała językiem polskim zupełnie poprawnie, mogłem zaspokoić jej ciekawość pod wieloma względami, opowiadając o mej przyjaźni dla Stefana. W ten sposób poznałem profesora Otta i jego piękną małżonkę i chociaż żadne z nich nie zobowiązywało mnie do dyskrecji, nie zdradziłem „incognita" mego przyjaciela aż do czasu jego powrotu do kraju.

Było to w 1925 r. Sława profesora Otta przebrzmiała, a i o nim samym zaginął słuch.

Kiedy pewnego dnia przyniesiono mi bilet wizytowy Stefana Barskiego, sądziłem zrazu, że chodzi tu o mistyfikację.

Nie potrzebuję podkreślać, jaką radość sprawiły mi jego odwiedziny. Stefan przybył do Polski, jak twierdził, na życzenie pani Inez, która chciała poznać ojczyznę męża, zdaje się jednak, że skłoniły go do tego przedewszystkiem nieprzyjemności, na jakie się naraził we Francji w związku z niewdzięczną karjerą okultystycznego eksperymentatora. Muszę zaznaczyć, że nie miałem dotąd sposobności przekonać się, na czem polegają doświadczenia, które zyskały mu taką sławę. Nigdy nie interesowałem się zbytnio sugestją i hipnotyzmem i dopiero przyjazd Stefana i kilka miesięcy spędzonych z nim razem w Krakowie otworzyły mi oczy na sprawy, o których nie miałem dotąd żadnego pojęcia i które były dotąd obce mej trzeźwej naturze.

Na miesiące te przypada odrodzenie naszej zażyłości. Rzecz zrozumiała, że pani Inez stanowiła zawsze trzeci wierzchołek tego domowego trójkąta, którego ramiona zamykały całokształt naszych codziennych wrażeń i przeżyć.

Minęło kilka tygodni i przez cały ten okres czasu nikt nie domyślał się, że Stefan jest owym słynnym w całej Europie profesorem „Ottem".

Przyznaję ze skruchą, że ja byłem tym, który położył kres naszemu spokojnemu życiu. Pewnego wieczora podczas bytności u państwa Barskich rozmawiałem ze Stefanem o bitwie pod Grunwaldem i o rozmieszczeniu szyków polskich przed rozpoczę-

ciąg dalszy na str. 12-tej.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Oto najnowsze znaczki europejskie: pierwszy i drugi u góry Jugosławja, trzeci rząd znaczki bułgarskie, wydane z okazji 20-lecia panowania cara Borysa, czwarty rząd i pierwszy znaczek na lewo w piątym rzędzie. — Szwajcarja, w piątym rzędzie na prawo piękny znaczek francuski z podobizną Marji Curie-Skłodowskiej i jej męża, u dołu znaczki republiki San Marino.

Zmiany polityczne, a przedewszystkiem nowy wygląd mapy Europy, odbiją się napewno w filatelistyce, narazie jednak nie mamy żadnego oficjalnego zawiadomienia o nowych emisjach. Podobno przedrukowano dwa znaczki czeskie napisem „wir sind frei!" i znakiem swastyki w nakładzie po 10 tysięcy sztuk, tak że pierwsza oferta za parkę wynosi już około 10 złotych. Tak jak zwykle w okresie przewrotu, nie można absolutnie przewidzieć, które znaczki będą rzeczywiście cenne, tak i tym razem nie możemy niestety doradzać ani odradzać nabywania tych egzemplarzy.

Zajęcie Śląska Zaolzańskiego wymaga oczywiście także upamiętnienia na znaczkach polskich, ale nie powinno to stać się w formie przedruków znaczków czeskich: brak jest w naszej regularnej serji 2 sztuk (za 3 i 75 groszy), teraz właśnie powinniśmy ujrzeć na nich dwa motywy charakterystyczne dla południowo-zachodniego bastjonu polskości: jeden motyw to lesiste okolice zachodniego Beskidu, a drugi to kominy przemysłowych zakładów w Karwinie czy Frysztacie.

Czechosłowacja — a może już Czecho-Słowacja tylko na znaczkach będzie prawdopodobnie mogła protestować przeciw zupełnej utracie swego politycznego znaczenia. Zapewne tak uczyni.

Wspomnieliśmy powyżej, że brak w naszej serji regularnej znaczków po 3 i 75 groszy. Mają to być oczywiście, naszem zdaniem, znaczki na druki miejscowe i listy pospieszne. Do omówienia tej sprawy po wrócimy. Opis i wymiary nowości reprodukowanych zamieścimy w następnym numerze **W. H.**

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych nagród!



„Nad jeziorem Dryświaty" — Fot. Liljana Pytkowa. Łódź.



„Wśród nenufarów" — Fot. inż. S. Krupiński. Włocławek.



„Na szmaragdowej toni" — Fot. R. Kosmal. Końskie.



„Podczas górskiej wycieczki" — Fot. K. Wolfke. Warszawa.



„Sześcioręka bogini" — Fot. Jerzy Totoś. Kraków.



„Na wyspach Lerins" — Fot. Mister

dalszy ciąg ze str. 9-ej.

ciem walki. Moglibyśmy sobie to wyobrazić — rzekł z uśmiechem mój przyjaciel. Sądzę, że pamiętasz zakończenie „Krzyżaków"? Spróbuję odtworzyć w myśli obraz bitwy, przekażę tę wizję twemu mózgowi i sądzę, że będziesz zadowolony.

Nie wiedziałem, co mają oznaczać jego słowa, ale wzmianka o powieści Sienkiewicza wzbudziła we mnie pewne reminiscencje. Jeśli chodzi o oderwanie mych myśli od otoczenia i skierowanie ich na ściśle określone tory, spełniły one w każdym razie swoje zadanie. Nie zauważyłem nawet, kiedy Stefan przyniósł nieduża kulę z tęczowego szkła i umieścił na stoliku w ten sposób, że światło lampy elektrycznej odbijało się gdzieś w głębi, tworząc błyszczącą, jasną plamę.

— Patrz w głąb kuli! — zabrzmiał nagle głos Stefana. Nieruchome światełko poza ścianą ze szkła zadrgało i zabłysło żywiej. Zacząłem przyglądać się grze ogników wokół lśniącego centrum szklanej kuli. Pierwszem wrażeniem mojem było zdziwienie. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego mimo stosunkowo niewielkich rozmiarów szklanej sfery przestrzeń objęta zakresem promieni wychodzących z jej głębi, jest aż tak duża... W chwli, kiedy zastanawiałem się, dlaczego ściany kuli nie stanowią granicy dla wypełniającego ją światła, ale zacierają się coraz bardziej, nikną w matowym blasku, do uszu moich dobiegł, jakby z oddali głos Stefana, który mówił z naciskiem:

— Na niewielkich wzgórzach, wznoszących się nad jeziorem Lubień, wśród zarośli i gajów stały wojska polsko-litewskie w liczbie kilkudziesięciu chorągwi, rozmieszczonych w trzech szykach. Chorągwie Krzyżaków, oddzielone od przeciwnika doliną, w której rosło kilka starych dębów, zajęły stanowisko na sąsiednich pagórkach....

Zaledwie przebrzmiały te słowa, zarysowały się w głębi pokoju kontury drzew i krzaków, rzucone, jakby na niewidzialny ekran w promieniach matowego światła, którego źródłem musiała być szklana kula. Równocześnie znikała mi z przed oczu postać Stefana, a w jego miejscu wyłonił się nagle, niewiadomo skąd, przybrany w lekką zbroję mężczyzna, który spoglądał w dolinę, rozpościerającą się u jego stóp. Kiedy mglisty zrazu obraz uwydatnił się i utrwalił, spostrzegłem stojące w pogotowiu masy zakutej w żelazo konnicy. Ponad hufcami rycerzy, siedzących na rosłych wierzchowcach, wznosił się las włóczni. W pewnej chwili zbrojny mężczyzna na pierwszym planie, przypominający z wyglądu Stefana, odwrócił się do swoich. Wnosiłem z jego szeroko otwartych ust, że musiał krzyczeć, ale do uszu moich nie dochodził nawet najlżejszy szmer.

Niestety, nie było mi danem przyglądać się dłużej temu ciekawemu widowisku. Gdzieś za plecami mojemi rozległ się dzwonek, a zaraz potem usłyszałem metaliczny dźwięk szkła. Czar prysnął. Wizja, która jeszcze przed chwilą pochłaniała całkowicie moją uwagę, przepadła, jakby zdmuchnięta przez wiatr. Ocknąłem się. Po drugiej stronie stolika siedział mój przyjaciel, a żona jego, pochylona jeszcze nad szklaną kulą, trzymała w swych rękach miedziany pręcik, którego uderzenia przywiodły mnie z krainy marzeń na ziemię. Ktoś zapukał do drzwi. To służąca zawiadomiła o przybyciu posłańca.

Było to moje pierwsze zetknięcie się z „cudami" profesora Otta. Zdawałem sobie sprawę, że chodzi tu o sugestję na jawie i że obraz, opisany przezemnie, oglądałem w transie. Szklana kula, wywołanie odpowiedniego nastroju, skupienie myśli na pewnym przedmiocie, wszystko to były „akcesorja", jakiemi posługiwali się zawsze hipnotyzerzy. Dziwiło mnie tylko, że przez cały czas trwania wizji wiedziałem, że nie śnię. Sądzę, że podobnego wrażenia doznają widzowie, przyglądający się sztuczkom indyjskich fakirów. Drugim charakterystycznym szczegółem, odróżniającym doświadczenia Otta, od typowych wizyj, wywołanych w drodze sugestji, była ścisła ich łączność z jego osobą. Szczegół ten nie uwydatnił się w sposób jaskrawy w pierwszym transie, jaki przeżyłem w jego towarzystwie, ale był nieodłączną cechą wszystkich fantastycznych obrazów, jakie później oglądałem. Pani Inez stanowiła — jeśli się tak mogę wyrazić — łącznik między światem urojonym i rzeczywistym i od niej zależało przerwanie eksperymentu. Dokonywała tego przez uderzenie metalowym pręcikiem w szklaną kulę. Zbudzenie tajemnych sił, wywołujących czarowne obrazy przeszłości leżało zatem tylko w mocy Stefana, ale z chwilą, kiedy te zaczęły działać, opanowywały go w zupełności. Był wówczas już tylko wykonawcą jakiejś ściślej określonej roli w ramach wybranej epoki historycznej.

Doświadczenia, o których wspominam, odbywały się później wielokrotnie w moim domu. Być może, że ulegaliśmy tylko masowej sugestji, ale wrażeń tych nigdy nie zapomnę. Przeżyłem w ten sposób szereg najciekawszych wydarzeń dziejowych, byłem świadkiem przygód różnych postaci, znanych dobrze z poezji i powieści.

W gronie gości, którzy przebywali podówczas często w moim domu i brali udział w scenerjach, była młoda Nella Wittgenstein, wdowa po właścicielu kopalni węgla na Śląsku, a moja daleka krewna. Nie wiem, jak się to stało, że zyskała ona sympatję Stefana i zaczęła uczestniczyć w naszych eksperymentach. Przyznaję, że była to jedna z najładniejszych kobiet, jakie w życiu widziałem. Stefan nie szczędził słów zachwytu, ilekroć była mowa o wdziękach mojej kuzynki. Zrazu nie zwracałem na to uwagi i dopiero rozmowa z panią Inez, jej łzy i oburzenie dały mi do poznania, że coś tu jest nie w porządku. Nie sądzę, aby Stefan zdradzał swoją żonę, w każdym razie jednak osoba Nelli wzbudziła zazdrość w sercu pani Inez. W domu Barskich zaczęły rozgrywać się sceny dramatyczne.

W pewien dżdżysty wieczór marcowy zebraliśmy się, jak zwyczajnie na wspólny seans. Było nas razem sześcioro, Stefan z żoną, Nella, młody Horecki, dziś już nieżyjący major Wieloch... no i ja. Po kolacji Stefan miał zamiar wywołać wizje kilku wydarzeń historycznych. Chodziło tylko o wybór tematu.

— Może pokazałby nam pan ostatnie epizody tragedji Zborowskiego? — odezwała się nagle Nella. — Zawsze byłam ciekawa, w jaki sposób ujęto go i stracono...

Spojrzałem na moją kuzynkę ze zdziwieniem, gdyż nie posądzałem jej o krwiożercze upodobania. Propozycję przyjęto. Stefan i jego żona poczynili odpowiednie przygotowania. Pani Inez umieściła na stoliku dobrze nam znaną z innych seansów szklaną kulę, ujęła w rękę miedziany pręcik i zamieniła kilka słów ze Stefanem. Zauważyłem, że była tego wieczoru dziwnie podniecona i że na twarzy jej malowało się jakby znużenie. Przyjaciel mój również nie był w humorze. Widocznie przed wizytą przyszło między nimi do nowej sprzeczki o Nellę..

Usiedliśmy i na wezwanie Stefana, który zajął miejsce po drugiej stronie stolika, zaczęliśmy wpatrywać się w szklaną kulę.

Wspominałem już, w jaki sposób odbywały się seanse. Prowadzący je znikał nam z przed oczu, przyjmując na siebie postać jednego z bohaterów obrazu. Pani Inez czuwała nad całością widowiska.

„...Samuel Zborowski ujęty został w Piekarach nad Wisłą, w domu swej siostrzenicy Włodkowej. Pochwycono go bezbronnego... Odtąd los jego był już przesądzony. Złożył głowę pod miecz, jako banita, który ośmielił się urągać władzy króla i kanclerza...".

Zaledwie ucichł głos Stefana, rozpoczęła się zwyczajna gra cieni, tworzących w przestrzeni obraz, którego szczegóły uwydatniały się coraz bardziej w matowem świetle szklanej kuli. Oczom naszym ukazało się wnętrze izby o jednem, otwartem oknie. Przy łożu, nad którem wisiał sajdak ze strzałami, na stoliku, przykrytym kobiercem, płonęła świeca w mosiężnym lichtarzu. Na zydlu zaścielonym niedźwiedzią skórą, siedział nawpół ubrany mężczyzna, z głową opartą na dłoniach. Był sam. Widocznie czekał na kogoś lub dumał, nie mogąc zasnąć. Kiedy odwrócił twarz w naszą stronę, mogłem przyjrzeć się mu dokładniej. Groźne, głęboko osadzone oczy, czarne wąsy i broda nadawały obliczu jego wyraz dzikości i okrucieństwa. I rzecz ciekawa; Stefan był zupełnie do niego niepodobny, a jednak wiedziałem, że w danej sytuacji los mego przyjaciela związany jest z losem tego mężczyzny.

Wspominałem o dziwnym subjektywiźmie seansów profesora Otta. Wizje, które wywoływał, bez względu na ich treść, były jakby dostosowane do jego osoby. Zawsze odnosiłem wrażenie, że przychodzi wówczas do niepojętego dla mnie wcielenia się Stefana w bohaterów, oglądanych przez nas obrazów.

Mężczyzna, który był Stefanem, czy też tylko go przypominał, zerwał się nagle z miejsca, nadsłuchując. Twarz jego rozjaśniła się. Podszedłszy do drzwi w kącie izby, wyciągnął ramiona. Na progu stanęła kobieta... młoda kobieta, zaledwie widoczna w półmroku. Chwila wahania i padła w jego objęcia...

Uścisk trwał długo. Przytuleni do siebie, zbliżyli się do łoża. I wówczas światło świecy padło na twarz kobiety. Zatrzymałem oddech w piersiach. Ależ to była Nella! Nella garnąca się do mężczyzny, którego identyfikowałem z moim przyjacielem, darząca go pocałunkami, szczęśliwa... Zaiste, gdyby nie przeświadczenie, że widzę Samuela Zborowskiego na schadzce z jakąś dwórką pani Włodkowej w Piekarach, przysiągłbym, że patrzę na moją kuzynkę, tulącą się do Stefana.

Mężczyzna usiadł na łożu i przyciągnął ją do siebie. Nie broniła się. Pieszczoty kochanków stawały się z każdą chwilą goręcsze. Usta ich zwarły się w namiętnym pocałunku...

W tym momencie usłyszałem cichy okrzyk i ocknąwszy się na chwilę, ujrzałem wykrzywioną z bólu i wściekłości twarz pani Inez w odblasku światła, przenikającego z szklanej kuli. A potem wyłoniła się znowu z półmroku para kochanków i wnętrze izby, oświetlonej przez migotliwy płomień świecy...

Młoda kobieta uwolniła się z uścisku towarzysza. Oboje zaczęli nadsłuchiwać. Widocznie groziło im jakieś niebezpieczeństwo, gdyż mężczyzna zgasił szybkim ruchem świecę. Cienie obojga przepadły pod ścianami.

Przez pewien czas nie było nic widać. A potem pojawiła się w oknie jakaś sylwetka. W pobliżu zabłysły światła. I znowu chwila oczekiwania. Zdawałem sobie sprawę, że to zbrojni Zamoyskiego otoczyli dwór i że zbliża się chwila uwięzienia Samuela. Jakiś człowiek wskoczył przez okno, za nim drugi. Równocześnie otworzyły się drzwi i do izby wtargnęło kilku żołnierzy z pochodniami. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu zoba-

Ciąg dalszy na str. 20-tej.

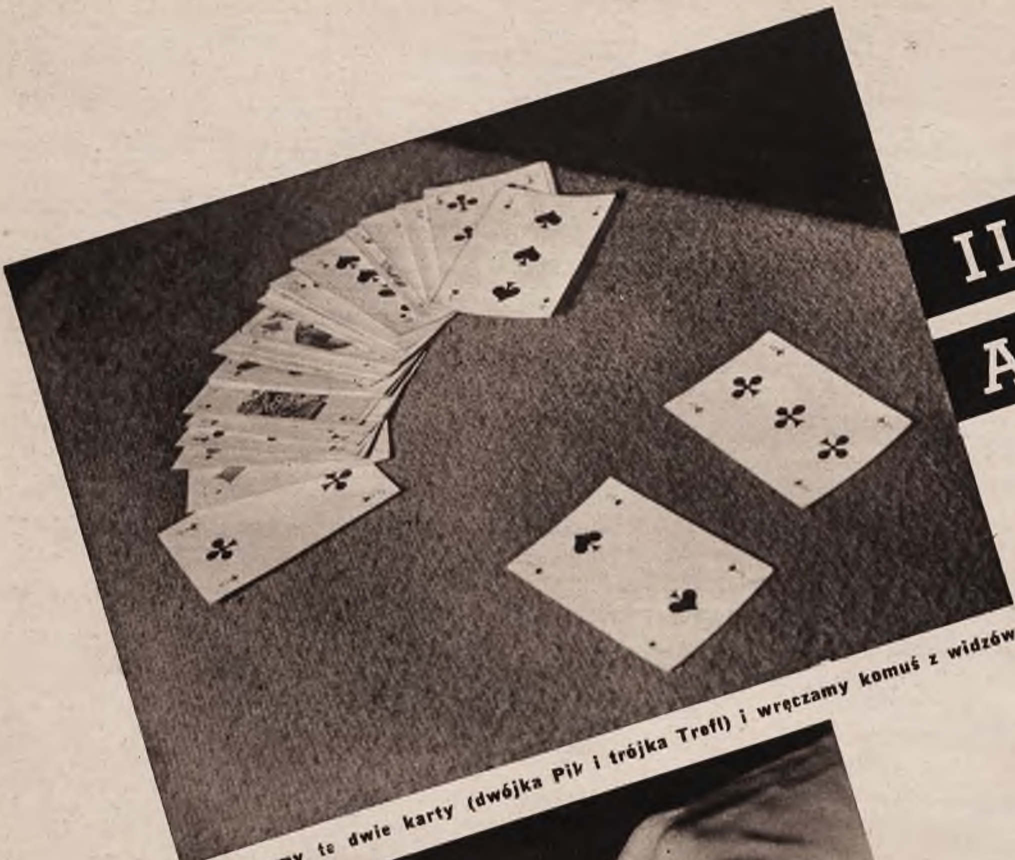


POWRÓT Z HAL



ILUZJONISTA AMATOR

popisuje się swą sztuką w Salonie.



Wybieramy te dwie karty (dwójka Pik i trójka Trefl) i wręczamy komuś z widzów...



Powyżej: Po włożeniu tych kart przez widza do talji bierzemy ją z ręki trzeciej osoby.



Na prawo: Ująwszy talję odpowiednio dwoma palcami, rzucamy ją na stół, zatrzymując w ręce wierzchnią i spodnią kartę, już przedtem przez nas przygotowane.

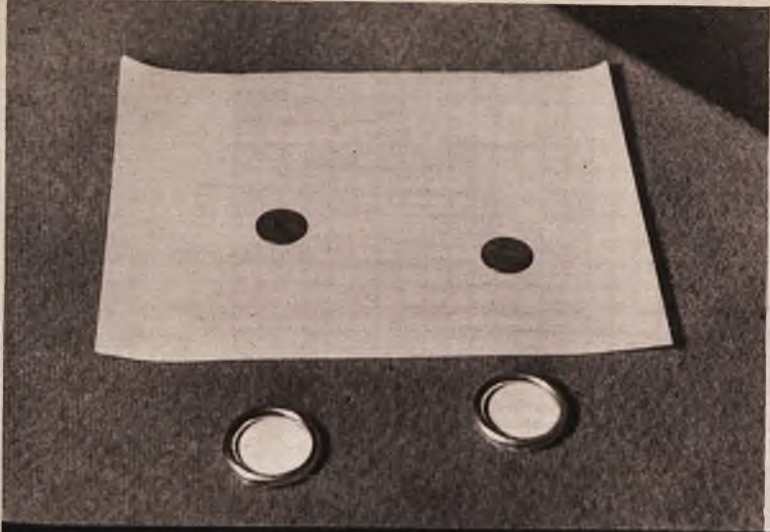
W numerze 40 Magazynu „As" rozpoczęliśmy druk ciekawych opisów różnych sztuk magicznych, jakiemi popisują się zawodowi iluzjoniści w kabaretach całego świata. We wstępie zaznaczyliśmy, że chodzi nam o ułatwienie zainteresowanym tą dziedziną ludzkich umiejętności Czytelnikom zgłębienia tajemnicy, otaczającej owe „nadprzyrodzone" sztuczki iluzjonistów i o ewentualne dopomożenie do wyćwiczenia ich, aby następnie służyły do zabawy w gronie znajomych. Dziś kontynuujemy te opisy przytaczając dwa nowe przykłady zręcznych tricków. *Red.*

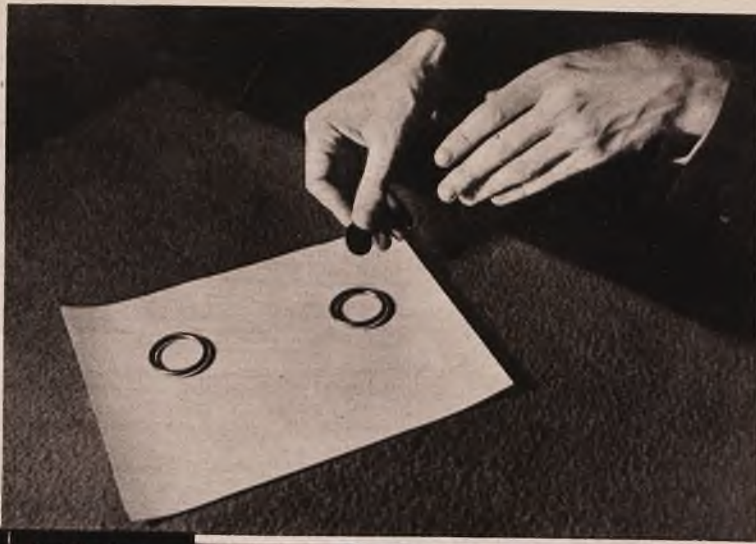
III.
TRICK Z KARTAMI.

Większość karcianych sztuczek polega na sumiennej i zgrabnej manipulacji rąk, której laik nigdy nie zdoła wyćwiczyć, bo do tego trzeba mieć już talent wrodzony. Zgodnie jednak z tem, co powiedzieliśmy na wstępie pierwszych naszych opisów, istnieje sporo tricków nawet karcianych, opartych na zręcznie zastosowanej sugestji i te będzie mógł każdy z nas wykonać. Oto jeden z nich.

Przedewszystkiem przygotowujemy sobie talję zwykłych kart, na wierzchu której umieszczamy np. trójkę Pik, a na spodzie dwójkę Trefl lub odwrotnie pierwszą na spodzie a drugą na wierzchu. Robimy to, rzecz prosta, w tajemnicy przed widzami. Teraz występujemy już publicznie i rozpoczynamy intensywny monolog na temat różnych praktyk szulerów, twierdząc, że to, co teraz pokażemy, jest nieraz przyczyną ich powodzenia w grze. Następnie wzywamy kogoś z widzów, by podszedł i oglądnął sobie dwie karty, które przeglądając talję wyciągamy z niej. Muszą nimi być: dwójka Pik i trójka Trefl, bo cały nasz trick polega na podobieństwie wybranych kart do tych, które umieściliśmy na spodzie i na wierzchu talji.

Widz bierze wybrane karty i chowa je do kieszeni, podczas gdy talję wręczamy osobie trzeciej. Potem wzywamy do umieszczenia wybranych kart w talji, wszystko jedno w którem miejscu i następnie chwytamy talję w dwa palce w ten sposób, aby po rzuceniu jej na stół zostały w naszej ręce karta wierzchnia i karta spodnia. Pokazujemy je widzom, oświadczając: *Oto wybrane karty!* Naturalnie widz, który wybrane karty oglądał i schował do kieszeni, może sobie zapamiętać ich wygląd i będzie oponował. Ale jego sprzeciw napewno nie będzie długo-

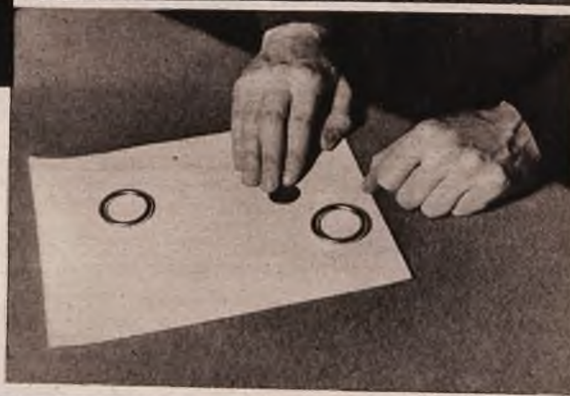




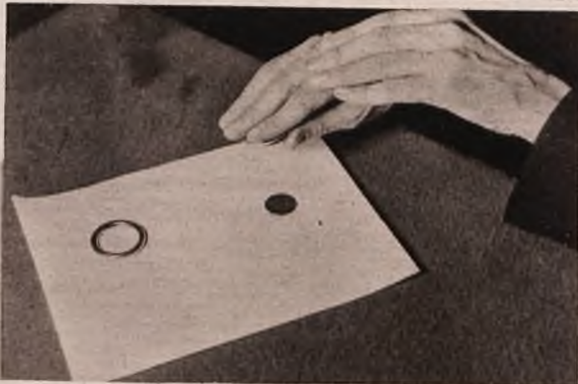
Powyżej od lewej: Do wykonania sztuki używamy arkusza białego papieru, dwóch pierścieni podlepionych tym samym papierem i dwóch monet. Zaczynamy sztukę, mając jedną własną monetę pod jednym pierścieniem, a drugą monetę otrzymujemy od widzów.

trwały, bo już po kilku sekundach, podczas których musimy użyć najbardziej przekonywujących argumentów, nie będzie więcej pewny, czy widział wybrane przez nas karty, czy te, które umieściliśmy na wierzchu i spodzie talji, a które trzymamy teraz w ręce. W chwilę potem oznajmi on wszystkim, że to napewno są karty, które włożył do talji. W większości jednak wypadków nikt nie podnosi żadnych wątpliwości, pozostając pod przemożnym wpływem sugestji.

Na prawo: Kładziemy ją na papierze obok drugiego pierścienia...



IV.
ZACZAROWANE PIERŚCIENIE.



Na prawo: Podnosimy pierścień i przykrywamy nim monetę...

Drugi trick przypomina bardzo sztuczki domorosłych iluzjonistów, popisujących się na jarmarkach. Czarują oni publiczność ziarnkiem grochu i trzema połówkami łupiny orzecha laskowego. Gra polega na tem, aby zgadnąć, pod którą łupiną znajduje się ziarnko. Oczywiście, że wygrywa zawsze sam sztukmistrz, a nigdy publiczność, gdyż w żadnym wypadku ziarnko nie znajduje się pod wskazaną przez kogoś z widzów łupiną, natomiast jest schowane w ręku „magika", podkładającego je potem pod tę łupinę, którą publiczność pominęła.

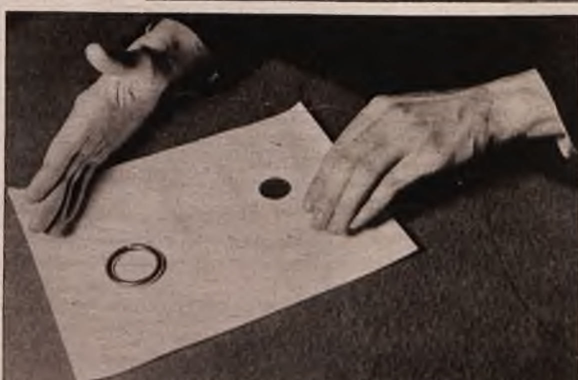
Podobną sztuczką jest trick z pierścieniami. Wykonujemy go na arkuszu białego papieru. Dwa pierścienie, takie, jakich używamy do firanek, podlepiamy dokładnie przyciętymi kawałkami tego samego papieru. Teraz kładziemy je na arkuszu i pod jednym z nich umieszczamy monetę, takich wymiarów, aby ją pierścień zupełnie przykrył. To wszystko wykonujemy w tajemnicy przed widzami. Teraz przystępujemy do demonstracji i prosimy kogoś z publiczności o drugą takąsamą monetę. Kładziemy ją na arkuszu, podnosimy pierścień drugi, ten bez naszej monety, przykrywamy nim otrzymaną monetę, nie podnosząc jeszcze ręki i pytamy: Gdzie jest moneta? — Wszyscy naturalnie wskazują drugi pierścień. Wówczas podnosimy dopiero rękę. Moneta znikła, bo przykrył ją papier podlepiony pod pierścieniem. Teraz zręcznym ruchem podnosimy pierwszy pierścień i ukazujemy zdumionym widzom naszą monetę. Z kolei przykrywamy ją pierścieniem, pytamy, gdzie jest moneta, odkrywamy drugi pierścień itd. itd. aż do znudzenia. Uważać trzeba, aby przy podnoszeniu pierścienia kryła go zupełnie ręka. Nie można, rzecz prosta, podnosić naraz obydwóch pierścieni, bo wówczas trick nasz zostanie zaraz odkryty.

Ciąg dalszy nastąpi.

Scott.



Na lewo: Gdy przypatrujący się wyrażają przekonanie, że moneta jest pod drugim pierścieniem, podnosimy pierwszy i pokazujemy naszą monetę, o której widzowie nic nie wiedzą...



Na lewo: Gdy teraz wszyscy są przekonani, że moneta leży pod pierwszym pierścieniem, podnosimy zkolei drugi, ukazując drugą monetę i tak w nieskończoność...







W MUROWANEJ PIWNICY TAŃCOWALI ZBÓJNICY...



Trzy grupy wokół pejzażu: Górale ze Spiszu w tańcu zbójnickim.





Na lewo: Ziemia Spiska; Okolica Jurgowa.

Łańcuch Wysokich Tatr, szczytami mierząc w chmury, kraje obłoki. Granitowemi fundamentami wrośnięty w polską ziemię, kraje ją na dwie połowy. Ale nie przekrawa serc!

Tu i tam biją one jednako!

Tu i tam mowa tasama, pieśń tasama i tasama tradycja!

Tu i tam „w murowanych piwnicach tańcują zbójnicy" pod wtór jednakiej melodji.

Na wysokich i niedostępnych szczytach tatrzańskich rodzą się w skalistych gniazdach orły — symbole polskiego ducha i historji. Tam pisklęta orle wyczekują dnia swego pierwszego lotu i tam roztacza potężne skrzydła ptak królewski.

Kołując wielkim lotem ponad swą górską ojczyzną, rzuca cień swych skrzydeł i tu i tam — po obu stronach przedartej Tatrami ziemi, która jest jedną!

Spowita w wyniosłych legendach, ziemia ta w górę się wznosi, ku tymsamym promieniom słonecznym.

„W murowanej piwnicy tańcowali zbójnicy", śpiewają polską pieśń wolnego, górskiego ludu. Czy dzisiaj jeszcze ją śpiewają?

Czy w tę melodję beztroską, skoczną, dziką, w melodję namiętną jak wiatr halny, zawrotną jak przejście ponad przepaścią, śmiałą jak orli lot — nie wkradła się dzisiaj nuta inna, która w odzewie przynosi echo melodyj, śpiewanych przez Kraków i Warszawę?

Melodyj, które były historyczne — a stały się dzisiejsze?

Brzmią one z dwu stron Tatr, wpartych w jednaką z obu stron polską ziemię. I słuchają ich serca i orły, spinające skrzydłami tę ziemię z wysokiem tchnieniem gór, z bezkresnym oddechem wolności.....

W. Z.



nach kwarcu i innych minerałów, wreszcie najgrubsze zlepieńce. Od różnych miejscowości otrzymały one nazwy warstw cieszyńskich, istebniańskich, frydeckich, lgockich, godulskich i t. d.

Wśród osadowych skał północnej części Beskidu Śląskiego i Pogórza występują żyły bardzo ciekawych skał, zwanych „cieszynitami". Nazwę swą, nadaną im ok. połowy ub. wieku przez jednego z geologów karpackich, zawdzięczają temu, że występują szczególnie w okolicach Cieszyna, rozciągając się na obie strony Olzy. Z pośród innych skał zostały one wydzielone i oznaczone osobną nazwą dzięki szczególnemu składowi chemicznemu i mineralnemu. Są to skały magmowe, t. j. powstałe ze skrzepnięcia ognisto-

Na lewo: Oto granica, która przestała istnieć — Olza przepływająca przez Cieszyn.

PRZYRODA ODZYSKANYCH ZIEM: CIESZYNIANKA i CIESZYNITY

Wypadki ostatnich tygodni trwale przykuwają uwagę całej Polski do odzyskanych ziem Śląska Cieszyńskiego. Najbardziej północna część obszaru, który wrócił do Polski, to jakgdyby przedłużenie naszego Zagłębia Węglowego. Natomiast część południowa stanowi składową część krainy górskiej, tworząc najbardziej zachodnią część łańcucha karpackiego.

Beskid Zachodni rozpada się na dwie przebiegające równoleżnikowo krainy. Wyższą z nich zajmuje obszar południowy, rozciągający się między dolinami Ostrawicy i Soły i noszący nazwę Beskidu Śląskiego; bardziej północna — t. zw. Pogórze Śląskie, stanowiące część Pogórza Karpackiego.

Beskid Śląski charakteryzuje bogactwo form morfologicznych i znaczne nieraz różnice w wysokościach, co dodaje wiele piękna krajobrazowi. Szczególnie malownicze szczyty górskie o wysokości do 1000 m ciągną się wśród dolin Olzy i Wisły, tworząc dział wodny pomiędzy Wisłą a Odrą. Ku północy przechodzi Beskid Śląski w Pogórze Śląskie, ciągnące się pasem równoleżnikowym o szerokości kilkunastu kilometrów. Dalej rozpoczyna się płaski, niekiedy pagórkowaty obszar Wyżyny Śląskiej, która jest częścią składową wielkiej wyżyny Śląsko-Małopolskiej.

Beskid Śląski i Pogórze Śląskie, będące częścią łańcucha karpackiego, posiadają dosyć skomplikowaną budowę geologiczno-tektoniczną. Górskie wzniesienia są zbudowane z piaskowców, zlepieńców, iłów, łupków i wapieni zwanych wapieniami cieszyńskimi. Cechą charakterystyczną tych skał jest ich naprzemianległość, t. zn. po warstwach piaskowców następują łupki, potem znowu piaskowce, potem łupki, gdzieniegdzie wapienie i t. d. Przed dziesiątkami miljonów lat na obszarze tym istniało morze. Z prądu do ówczesnego morza znoszony był materjał skalny, niszczony działaniem rzek i przybrzeżnych fal morskich. Ponieważ dno morskie i przyległy ląd ulegały rytmicznym wahaniom naprzemianległym, podnoszeniu się i obniżaniu, kolejno wytwarzały się skały o różnej grubości ziaren: tworzyły się iły, złożone z drobnych zawiesin czy łupki t. zw. łupki cieszyńskie, powstałe po ich sprasowaniu, dalej piaskowce o grubszych ziar-



Powyżej: Młoda sarna, mieszkanka lasów cieszyńskich. — Fot. dr Maślankiewicz.

Poniżej: Z owadów spotykamy na Śląsku Cieszyńskim najczęściej jelonka rogacza. Po lewej: samiec z silnie rozwiniętemi żuwaczkami.





Kamieniołom w Boguszowicach koło Cieszyna ze skałami, zwanemi „Cieszynitami". — Fot. dr Maślankiewicz.

płynnej magmy, podobnej do lawy, wylewającej się z czynnych wulkanów. Ognisty stop różnych tlenków metali daje po ostygnięciu skały o różnym wyglądzie i odmiennych składnikach mineralnych w zależności od składu chemicznego magmy i warunków ostygania. Tą drogą powstają granity, znane w Polsce przedewszystkiem z Tatr i Wołynia — przez szybsze oziębianie powstają różne skały wylewne, jak porfiry znane n. p. z Miękini pod Krzeszowicami i t. d. Gdy magma ognisto-płynna wlewa się między inne skały, tworząc różnej grubości odnogi i żyły, powstają t. zw. skały żyłowe. Taką właśnie skałą żyłową, która powstała przez zastygnięcie ognistej magmy wśród pokładów piaskowców i innych skał osadowych Śląska Cieszyńskiego, są „cieszynity".

Grubość żył cieszynitowych wynosi od kilku centymetrów do kilkudziesięciu metrów,

n. p. w Boguszowicach pod Cieszynem, Rudowie czy Puncowie. Nieraz ciągną się one nawet na długości kilkuset metrów. Wlewająca się gorąca magma w skały osadowe zmieniała je niekiedy, czyniąc je twardszemi lub zmieniając ich barwę w najbliższem sąsiedztwie. W niektórych okolicach Cieszyna n. p. w Boguszowicach są „cieszynity" eksploatowane i używane jako materjał drogowy.

* * *

Roślinność Śląska Cieszyńskiego zbliżona jest do flory karpackiej innych, bardziej na wschód położonych obszarów. Posiada jednak swoisty charakter, związany z występowaniem niektórych roślin, nieznanych gdzieindziej.

Gdy na równinach i obszarach pagórkowatych rozpościerają się pola uprawne, wśród których licznemi są osiedla ludzkie, w górach panuje las. W obszarze południowym o znaczniejszych wzniesieniach, przeważają lasy szpilkowe ze świerkiem i jodłą. ku północy mieszają się one z lasami liściastymi, które należą do pięknych zbiorowisk pierwotnej roślinności. Wśród nich często panującem drzewem jest lipa drobnolistna, występująca w towarzystwie klonów: klonu pospolitego o szerokich liściach, szczególnie barwnych w jesieni, mieniących się całą gamą odcieni od złocisto-żółtych do czerwonych, jaworu i rzadszego już klonu drobnolistnego. W innych miejscach przeważa buk, rosnący razem z grabem i gdzieniegdzie pojawiającym się jesionem. Piękny taki las liściasty z bukiem, lipą, wiązem, klonem, jaworem i grabem rośnie w Marklowicach pod Cieszynem. Malowniczy widok przedstawiają brzegi lasów cieszyńskich na wiosnę, gdy kwitną dzikie czereśnie, osypując się mnóstwem białego kwiecia.

Podszycie lasów jest bogate w liczne krzewy i zioła. Rosną głogi, ustrojone w jesieni w czerwień swych owoców, trzmielina o pięknych, oryginalnych owockach, kolczasta tarnina, tworząca z wiosną bukiety, złożone z drobnych i delikatnych śnieżno-białych kwiatków, a w jesieni pokryta mnóstwem siwo-granatowych tarek, rosną liczne jeżyny, oraz krzewy ligustru.

W runie leśnym nie brak różnych pięknych roślin, jak silnie pachnących konwalij, marzanny wonnej i wielu jeszcze innych. — Z pośród wszystkich najciekawszą jednak jest „cieszynianka", która przedostała się na Śląsk Cieszyński z Alp przez Bramę Morawską. W niektórych zbiorowiskach leśnych stała się ona rośliną panującą i występuje masowo. W największej obfitości rośnie w okolicy samego Cieszyna, skąd właśnie wzięła swą polską nazwę. W lasach, gdzie rosną buki, klony i lipy, dosłownie zaściela ich dno swym zielonym kobiercem. Najliczniejsze skupienia tworzy w lesie liściastym w Marklowicach. Dużo jest jej również w parku cieszyńskim około Błogocic. Cieszynianka znana jest ponadto z Dzięgielowa, Wiślicy, Goleszowa oraz szeregu miejscowości po zachodniej stronie Olzy. Jest ona jedną z pierwszych zwiastunek wiosny, zjawia się, gdy tylko śniegi ustąpią, uprzedzając nieraz nawet pojawienie się przebiśniegów i przełaszczek. Żółte baldaszki jej kwiatków podparte są pięcioma podsadkami w formie listków. Z podziemnego kłącza wyrastają na długich ogonkach skórzaste liście, dłoniasto-trójlistkowe, zwane liśćmi odziomkowymi, gdyż zdają się wyrastać wprost z ziemi.



Najciekawszą rośliną flory Śląska Cieszyńskiego jest „cieszynianka", która tam dostała się przez Bramę Morawską.



Beskid Śląski odznacza się ciekawie sfałdowanymi piaskowcami.

„Cieszynianka" występuje w pierwotnych lasach liściastych, a znaleźć ją także można i w lasach szpilkowych, zasadzonych ręką człowieka. Jej łacińska nazwa „Hacquetia epipactis" jest historycznie związana z Karpatami i nazwiskiem Baltazara Hacquet'a, geologa i botanika, który z końcem XVIII w. przez szereg lat w licznych wycieczkach przemierzał pasmo Karpat, pozostawiając jedne z pierwszych opisów przyrodniczych tych okolic.

W głębi lasów cieszyńskich występują również rzadkie na Śląsku obrazki plamiste o ciekawych buławkowatych kwiatostanach, otulonych pochwowatymi liśćmi, pojawia się także rzadki storczyk trójzębny.

W niższych i wilgotniejszych położeniach prócz buków pojawia się w przeważającej ilości dąb, a wraz z nim zmienia się także i charakter leśnego runa. W dużych ilościach występuje tu szczaw leśny o dużych liściach, piękna baldaszkowa roślina dzięglem zwana, a z wiosną w olbrzymich ilościach kwitnie gwiazdnica wielkokwiatowa tak, że dno lasu jest zupełnie białe. W niektórych miejscach występują niemal czyste dąbrowy.

Z wiosną na podmokłych terenach złocą się gorąco-żółte kwiaty kaczeńców, w jesieni zaś również masowo pojawiają się piękne różowo-lila kwiaty zimowitów, które wyglądem swym przypominają bardzo tatrzańskie krokusy.

W niektórych miejscowościach występują piękne, bujne łąki, o charakterze niemal pierwotnym. W ciągu roku kilkakrotnie zmieniają one swój wygląd. Najpiękniej wyglądają na przedwiośniu, gdy pokrywa je masowo przebiśnieg, później gdy zjawiają się fiołki i zawilce, a pod koniec wiosny różnobarwne storczyki z rzadkim i okazałym obuwikiem, pod jesień zaś znowu urocze kwiaty zimowita, tworzące zwarty kobierzec.

Gdzieniegdzie w niewielkiej ilości rosną rzadkie już dzisiaj na ziemiach polskich

Dokończenie na str. 20-tej.

Dokończenie ze str. 19-tej.

drzewa szpilkowe — cisy o pięknych płaskich, ciemnozielonych szpilkach oraz czerwonych osnówkach, okrywających w jesieni nasiona.

Fauna Śląska Cieszyńskiego przedstawia się już ubożej. W lasach żyją nielicznie sarny, rzadko tylko ukazują się lisy, a niemal zupełnie został wytępiony borsuk, którego sadło cieszyło się wielkiem zastosowaniem jako środek leczniczy. Rzadkiemi są również wydry, kuny leśne oraz koszatki.

Z pośród ptaków stosunkowo w małych ilościach występuje piękny i okazały głuszec, który pieśń swą o miłości nieraz przypłaca życiem. (Zapalonym myśliwym polowanie na tego ptaka dostarcza niezapomnianych przeżyć i wzruszeń). Niezmiernie ciekawym i charakterystycznym dla obszaru Śląska Cieszyńskiego jest mały ptaszek — remiz, który jest artystą w swoim rodzaju. Piękne gniazdko, utkane z puchu roślinnego i przeplatane włosiem zawiesza on na gałązkach drzew, nierzadko tuż nad wodą. Jedno takie gniazdko znaleziono niedaleko Cieszyna, założone na gałązce wierzby zaledwie 25 cm ponad zwierciadłem płynącej niżej Olzy. Ilość tych ptaków zmniejsza się jednak, gdyż amatorzy poszukują misternych gniazd.

W wodach Olzy oraz jej dopływach występują liczne ryby, jak brzanki, głowacze, świnki, okonie, karasie, piskorze, szczupaki, karpie i inne.

Z pośród owadów do ciekawości Śląska Cieszyńskiego należy jelonek rogacz, który występuje w dąbrowach i tam, gdzie dąb rośnie w przewadze. Samiec jego odznacza się potężnemi żuwaczkami. Coraz go jednak mniej, gdyż jako osobliwość faunistyczną sprzedają go miejscowe dzieci turystom. — Rzadkie już są również piękne i duże motyle: niepylak Apollo i paź żeglarz.

Ciekawy ten świat przyrody Śląska Cieszyńskiego stanowi naturalne dopełnienie pięknego krajobrazu tej prastarej, polskiej krainy.

Dr. Z. M.

Ciąg dalszy ze str. 12-tej.

czyłem tylko kobietę z twarzą Nelli, która oparła się o ścianę, wzywając pomocy. Towarzysz jej ukryć się musiał poza drzwiami alkierzyka w głębi. Weszło jeszcze kilku ludzi z dobytemi szablami w ręku. Zaczęło się gorączkowe przetrząsanie izby....

Tymczasem kobieta odchodziła od zmysłów z przerażenia. Ale w zamieszaniu, które powstało wskutek ciągłego wbiegania i wybiegania z izby żołnierzy, wśród zgiełku i tumultu nikt nie zwracał uwagi na drzwi ukryte w głębi. Wpadła, zarzuciwszy ledwie na siebie chustę, młoda jeszcze niewiasta, o energicznych, dumnych rysach twarzy — zapewne Włodkowa. Kilka dziewcząt z jej fraucymeru wbiegło za swoją panią. Teraz dopiero stojąca pod ścianą kobieta opanowała się i podbiegłszy do Włodkowej, szepnęła jej do ucha kilka słów. Obie zaczęły śledzić z niepokojem ruchy żołnierzy, którzy tracili głowę na myśl, że Samuel zdołał wymknąć się mimo wszystko. I wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Zborowski, którego wszyscy mieli już za ocalonego, wyszedł nagle z alkierzyka. Może nie chciał dopuścić do dalszych gwałtów, a może, przekonawszy się, że prędzej, czy później, wywloką go z ukrycia, pragnął raz jeszcze zaimponować butą i odwagą. Zjawienie się jego wywołało wśród napastników dziką radość. Włodkowa zachowała spokój i tylko nerwowe drżenie jej ust świadczyło, jak bardzo boleje nad losem wuja. Garść wiernej służby trwała w bezruchu. Nikt nie zauważył rozpaczy, malującej się na twarzy dworki, która jeszcze niedawno darzyła pieszczotą pana Samuela. Ona jedna czuła się winną... Ona jedna wiedziała, że Zborowski przybył do Piekar na schadzkę z nią, że namiętność, jaką w sercu jego wzbudziła, kazała mu zapomnieć o wszelkich środkach ostrożności.

Obraz zmienił się nagle i zamiast izby w Piekarach ukazał się moim oczom widok na zamek wawelski. Od strony wieży Senatorskiej zmierzał ku katedrze orszak złożony z kilku osób. To Samuel Zborowski szedł przed straceniem wyspowiadać się ze swych grzechów Bogu.. A może byłem w błędzie? Może to Stefan chciał pomodlić się po raz ostatni?

Na szarem niebie zaczynały pojawiać się pierwsze smugi światła. Budził się dzień, ale do wschodu słońca było jeszcze daleko. Zborowski szedł pierwszy, zatrzymując się od czasu do czasu. Plac przed świątynią był pusty i w bezpośredniem jej sąsiedztwie nie było widać żywej duszy. Dopiero, kiedy Samuel skręcił w stronę bramy, spotkał się oko w oko z wychodzącym z przedsionka kościoła mężczyzną w średnim wieku, w karmazynowym żupanie i kontuszu, z szablą przy boku. Domyśliłem się, że był to kanclerz Zamoyski, którego ostatnia rozmowa z Samuelem przeszła do historji i legendy. Niestety treść tej rozmowy pozostała dla mnie tajemnicą.

Zborowskiemu spieszyło się do kościoła. Rzucił jeszcze kilka słów kanclerzowi, który oddalił się szybkim krokiem, a potem, klęknąwszy prawie na progu świątyni, zaczął się modlić. W pewnej chwili drgnął i przerwał modlitwę. W jego szeroko otwartych oczach, w których przebijał dotąd smutek i ból, pojawił się wyraz dziwnej tkliwości. Spoglądał w głąb kościoła, ale panujący w nim mrok nie pozwalał mi dostrzec, co zwróciło jego uwagę. Trwał przez kilka minut w tej postawie, a kiedy wreszcie podniósł się, zauważyłem, że łza stoczyła się po jego policzku.

I jeszcze ostatnia scena. Nie wiem, w jaki sposób znalazłem się na niewielkim placu pod Lubranką, otoczonym tłumem ludzi. Z murów zamkowych spoglądały na miejsce stracenia rzesze ciekawych, między którymi widać było także szlachtę i rycerzy. Zauważyłem kanclerza, a obok niego kilku zbrojnych, którzy dawali znaki otaczającym skazańca pachołkom. Zborowski wstąpił na rzucony na ziemię płat czerwonego sukna, ściągnął z siebie żupan i spojrzał na miasto... Wyłaniające się z mgły porannej wieżyce i dachy grodu, budzącego się do codziennej pracy, przypomniały mu widocznie rodzinę, przyjaciół, sługi, wszystko to, co stanowiło ongiś jego dumę i ra-

Dokończenie na str. 24-tej.

Życie artystyczne

TEATR KATOWICKI



Wielkim ewenementem kulturalnym w życiu artystycznem Katowic była premjera „Żabusi" Gabrjeli Zapolskiej, wystawiona przez Teatr im. St. Wyspiańskiego. Złożyła się na to przedewszystkiem wysoka wartość tej sztuki, doskonała reżyserja Wiktora Biegańskiego, zarazem świetnego odtwórcy Męża i błyszcząca niepospolitem ujęciem kreacja Janiny Martini w roli tytułowej. Na zdjęciu: Jedna ze scen „Żabusi".

TEATR ŁÓDZKI



Grana przez Teatr Polski w Łodzi komedja Laszla „W perfumerji" cieszy się zasłużonem powodzeniem, które zdobyła zarówno dzięki swym wartościom komedjowym, jak i wyrównanej, dobrej grze zespołu. Na zdjęciu wykonawcy głównych ról komedji: od lewej I. Ippoldtówna, Z. Dywińska, T. Kondrat, E. Dąbrowski, W. Malinowski, oraz I. Starkówna. Sztukę przygotował reżysersko dyr. H. Moryciński.

NINA CZERSKA NA SCENIE TEATRU „8·15"



Fot. Halina Zalewska, Warszawa.

Nina Czerska, jedna z najmłodszych gwiazd operetkowych, występuje obecnie w Teatrze „8.15" w „Księżniczce Czardasza", grając rolę hrabianki Stasi. Uroda, wdzięk prawdziwej młodości, miły, dobrze wyszkolony głos oraz wrodzona gracja w tańcu składają się na nader wdzięczne zjawisko na scenie, jakiem bezsprzecznie jest ta wszechstronnie utalentowana artystka.

„ODROBINA MIŁOŚCI" W TEATRZE MALICKIEJ

Rekordowe powodzenie zdobyła sobie komedja muzyczna Aschera w adaptacji Leopolda Brodzińskiego „Odrobina miłości". Narówni ze sztuką sukces odnoszą jej wykonawcy z Iną Benitą, Ewą Stojowską i Lunią Nestorówną na czele. Kreacja pięknej Iny Benity zasługuje na szczególne podkreślenie. Artystka wyposażyła ją w całą gamę subtelnych odcieni sztuki aktorskiej, wokalnej i tanecznej. Jej doskonałym partnerem jest Roman Zawistowski (na zdjęciu).



WALENTYNA ALEXANDROWICZ W ROLI TEKLI

Teatr Miejski w Wilnie pod nową dyrekcją wybitnego literata i artysty dra Pobóg-Kielanowskiego, o którego działalności niedawno obszernie pisaliśmy, wystawił na otwarcie sezonu sztukę znanego powieściopisarza Jerzego Kossowskiego p.t. „Tekla", dającą obraz dzisiejszej rzeczywistości chłopskiej i prądów emigracyjnych. Świetną kreację w roli tytułowej stworzyła Walentyna Alexandrowicz, wybitna artystka i autorka dramatu p.t. „Jej syn", granego w Krakowie.
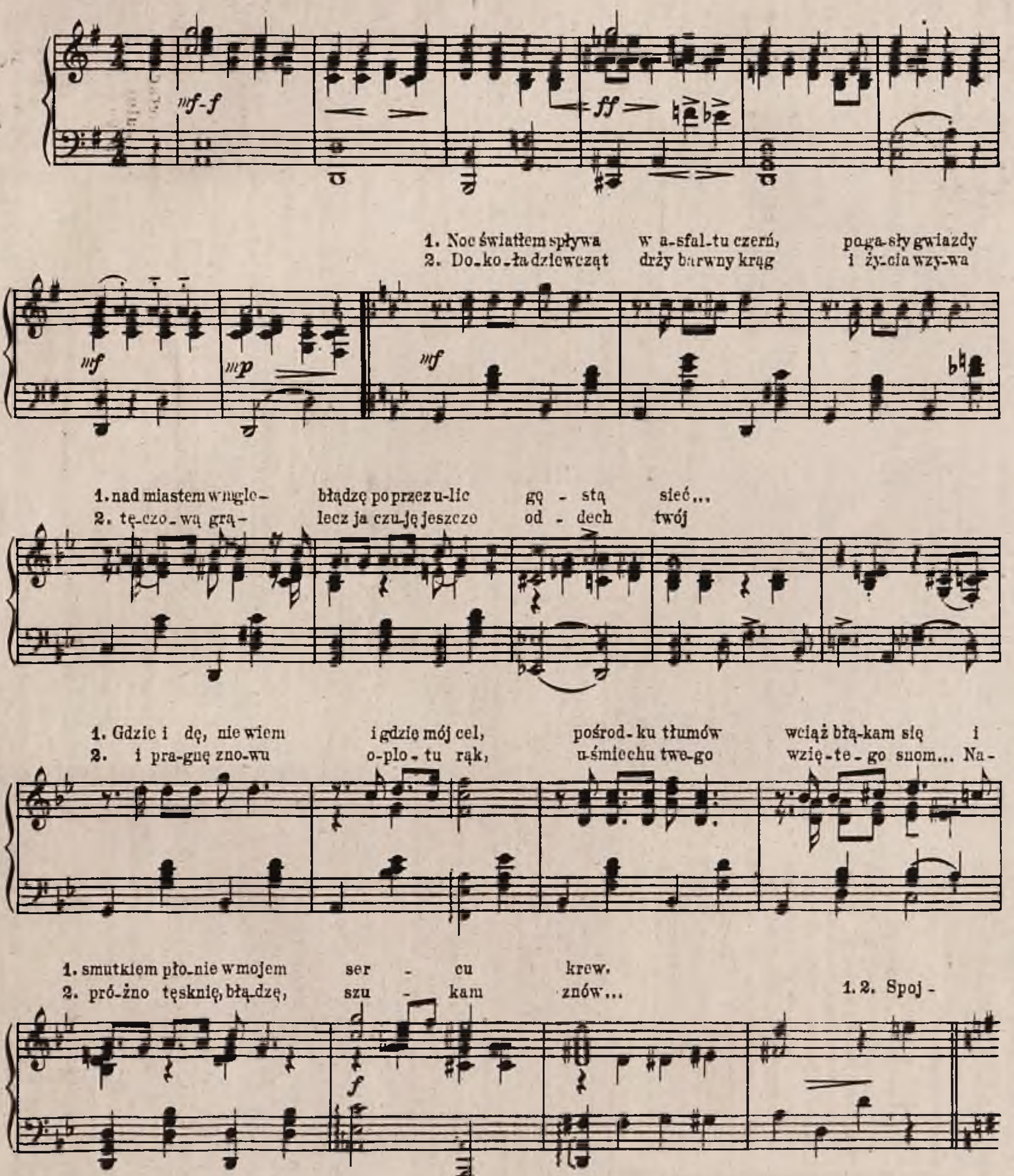


PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

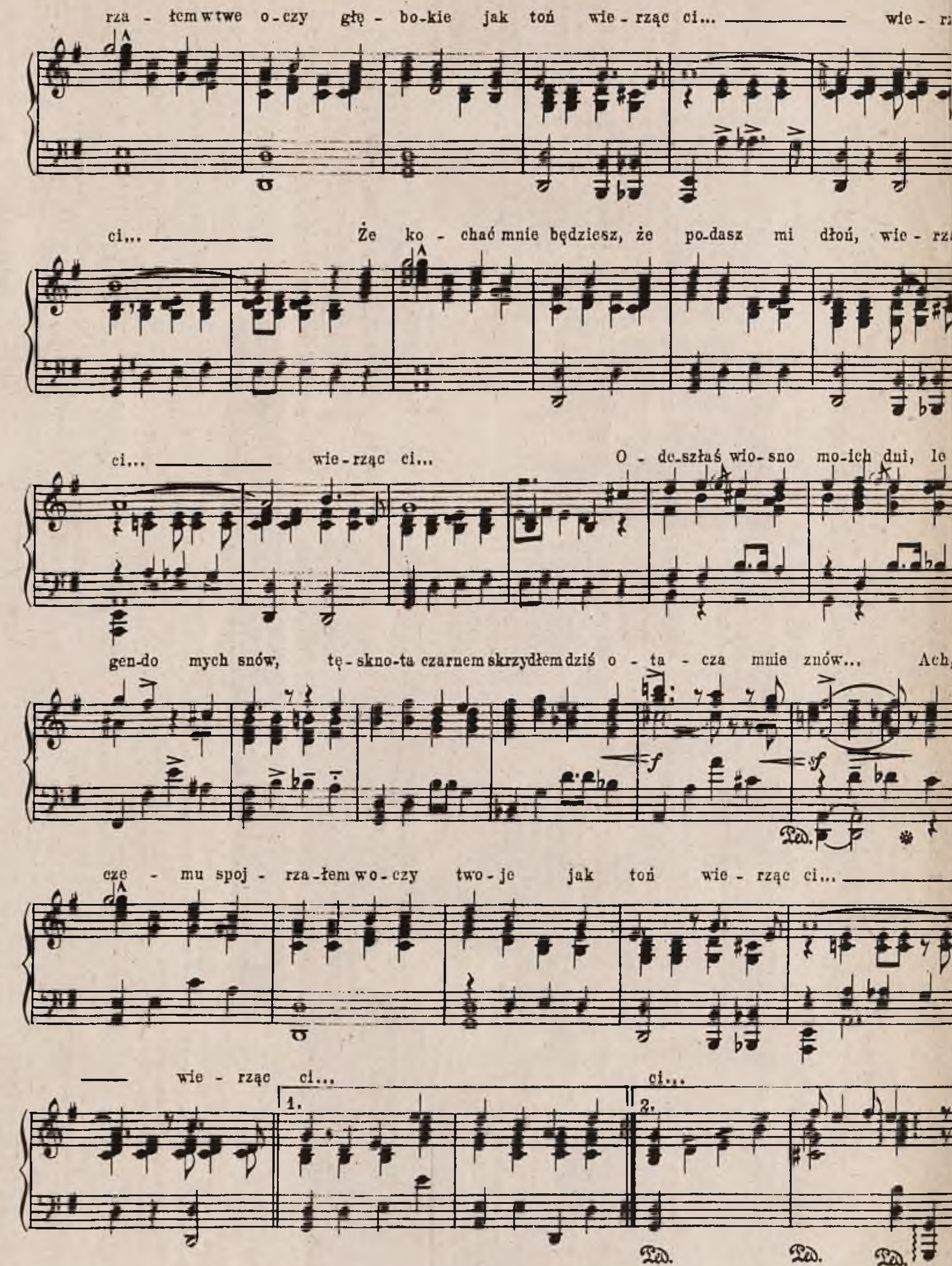
Spojrzałem w twe oczy...

SLOW-FOX

Słowa:
WITOLD ZECHENTER

Muzyka:
WIKTOR MILEWSKI





Pomysł Muncy Pletchera

JÓZEF ROBERT HARRER

GROTESKA

Muncy Pletcher przybył w tym czasie do Hollywood, kiedy film dźwiękowy zaczynał podbijać świat cały. Jest to sporo lat temu. Ale Muncy opowiada jeszcze dzisiaj z przyjemnością, jak udało mu się wówczas zarobić tak stąd ni zowąd 10.000 dolarów. Oto ta nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa historja:

— Jedno z największych filmowych towarzystw rozpisało „Konkurs na stuprocentowy pomysł filmowy", w którego warunkach trzeba było odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób doszło się do owego pomysłu.

— Jeszcze nigdy w życiu nie brałem udziału w konkursie; wówczas jednak tak mi się źle powodziło, że próbowałem wszystkiego, aby zdobyć pieniądze. Całymi dniami myślałem nad jakimś pomysłem, nie mogłem jednak nic odpowiedniego wymyśleć. Dla pobudzenia fantazji wydałem ostatnie dolary na bilety do kina i obejrzałem kilka dźwiękowych filmów. Gdy pewnego wieczoru wracałem do swego skromnego domu, natchnienie zajaśniało nagle, jak meteor, w mej głowie. Zacząłem biec ulicą, wpadłem do mego pokoju i zasiadłem do maszyny. Pisałem przez dwie godziny, przelewając na papier swój stuprocentowy pomysł filmowy. Był on dobry: czułem to odrazu. Podczas odpoczynku wypaliłem parę papierosów i zastanawiałem się, co zrobię z wygranym tysiącem dolarów. To doprowadziło mnie do takiego twórczego nastroju, że jeszcze tej samej nocy skończyłem pisanie.

Mój pomysł był następujący:

„Film musi być niemy. Nakręcić wesoły film-groteskę. Akcja, to rzecz drugorzędna! Gdy będzie skończony, wtedy dopiero dorobić dźwięk i mowę. Tutaj rozpoczyna się dopiero mój pomysł. Uważajcie! Przy synchronizowaniu filmu, komik rodzaju męskiego nie będzie sam mówić, lecz za niego podstawicie młodą dziewczynę z ładnym, o sopranowem brzmieniu, głosem. Przeciwnie znów za dziewczynę będzie mówił głęboki bas. Także i różne odgłosy muszą być pozamieniane. Gdy np. ktoś zapuka do drzwi, ma to brzmieć jak uderzenie dzwonu. Dzwonek musi mieć odgłos pukania. — Szmer latającego samolotu będzie podobny do płaczu dziecka. Skrzypce będą grać jak fortepian, pocałunki wydawać odgłosy uderzenia w policzek, śmiech zabrzmi jakby kto płakał, płacz jak śmiech! Wystrzał powinien brzmieć podobnie do śpiewu ptaka, śpiew ptaka upodobni się do ryku lwa! — W ten sposób stworzycie wesoły film, który napewno cały świat pobudzi do śmiechu..."

— Następnego dnia chciałem pójść ze swoim pomysłem do towarzystwa filmowego. Wtem przypomniałem sobie, że muszę jeszcze odpowiedzieć na drugie pytanie: w jaki sposób wpadł pan na swój pomysł? Musiało to być coś dowcipnego, coś nadzwyczajnego. Nagle — naprawdę, że los był dla mnie łaskawym — znalazłem odpowiedź. Wiedziałem, że firma „Mefobro" była największą konkurencją dla towarzystwa, które rozpisało konkurs. Pod swoim pomysłem napisałem:

„A w jaki sposób wpadłem na mój pomysł? Widziałem film waszej konkurencyjnej firmy „Mefobro", film zupełnie poważnie pomyślany. Był on tak w tonie fatalnie nagrany, że po usłyszeniu go, zaraz wpadłem na mój pomysł".

— Wspaniale! To musi się spodobać! Już stałem przed drzwiami towarzystwa filmowego, gdy nagle — los był naprawdę dla mnie nadzwyczaj przychylny — wpadłem na trzeci pomysł, najlepszy ze wszystkich. Zawróciłem i udałem się pośpiesznie do biura „Mefobro".

— Pan sobie życzy? — Chciałem wziąć udział w konkursie! — Popatrzono na mnie podejrzliwie. — To pana fałszywie do nas skierowano, konkurs nie my urządzamy, ale...

— Ja wiem! Ale może zainteresuje panów moja druga odpowiedź?

Panowie z „Mefobro" zbledli: — Chce pan to rzeczywiście oddać? Człowieku, pan nas zrujnuje!

— To mnie nie obchodzi! Mnie interesuje tylko kwota, jaką dostanę.

— Zapłacimy 1.000 dolarów, jeśli pan wycofa drugą odpowiedź i nie poda nazwy naszej firmy!

Podpisałem umowę i schowałem do kieszeni 1.000 dolarów. Na miejsce „Mefobro" dałem nazwę innej konkurencyjnej firmy poszedłem potem do niej. Poszło mi jak w „Mefobro". Miałem znowu 1.000 dolarów Krótko mówiąc, w dwóch dniach odwiedziłem wszystkie dziewięć dużych firm konkurencyjnych i zarobiłem 9.000 dolarów. Potem los dał mi czwarty i na długi czas ostatni pomysł. Drugą odpowiedź wogóle wycofałem i udałem się do firmy rozpisującej konkurs. Przeglądnięto mój stuprocentowy pomysł:

— Bardzo dobry! Świetny! To może być pod pewnymi względami naprawdę doskonała groteska. Do tej pory nie otrzymaliśmy jeszcze tak dobrego pomysłu. Jeżeli odpowiedź na drugie pytanie okaże się równie dobrą, może pan mieć nadzieję na zdobycie nagrody w kwocie 1.000 dolarów!

— Nie mogę odpowiedzieć na drugie pytanie!

— Wobec tego jest nam bardzo przykro że — — —

— Może was zmartwię — przerwałem

— Zmartwić? Człowieku, jesteśmy przecież handlowcami.

— A więc dobrze. Doszedłem do tego stuprocentowego pomysłu przed paroma dniami, gdy ujrzałem wasz najnowszy film dźwiękowy!

Twarze moich interlokutorów wydłużyły się. Musiałem im przyrzec, że o tem nikomu nie powiem i dano mi nagrodę w wysokości 1.000 dolarów. — Zarobiłem więc 10.000 dolarów i zarobiłem je prawie że uczciwie!

* * *

...To jest historja pomysłu z pierwszych dni dźwiękowca, o której Muncy Pletcher z przyjemnością opowiada, gdy kogoś spotka ze znajomych. Ma nadzieję, że może kiedyś jakiś reżyser pomysł jego zrealizuje. Tak! Muncy jest dziwakiem; nie ma nic przeciwko temu, aby mu ktoś ukradł jego pomysł. Chce losowi w jakiś sposób podziękować za owych 10.000 dolarów.

Przeklęta WAZA

JERZY JACKIEWICZ

NOWELA

Stanowczo przynosiła nieszczęście!

Od chwili, gdy ją Frank Corbett przywiózł z Chin, zaczął go prześladować jakiś fatalny pech.

Właściwie zaczęło się to jeszcze na statku. Odbijali od portu. Kanton był podobny do barwnego egzotycznego kwiatu, a dżonki obsiadły go jak ruchliwe czarne owady. Corbett biegł właśnie do swojej kajuty po lornetkę. Schody były strome, ciasne. Pośliznął się.

Poczuł lekki ból w nodze, nie mógł wstać. Złamanie okazało się dość poważne. Zaczęły się jakieś komplikacje.

Zdecydował się pozostać w Singapore aż do wyleczenia. Trzy pełne miesiące przeleżał w szpitalu.

Szczęśliwie uniknął amputacji nogi...

Gdy wrócił do kraju, przekonał się, że jego interesy idą znacznie gorzej niż poprzednio. Podczas jego przymusowej nieobecności kontakt z Lindsey-Motor-Trust, na który tak bardzo liczył, nie doszedł do skutku. Naraziło go to na znaczne, a co gorsza nieprzewidziane straty. Na szczęście akcje kopalni węgla w Sutton utrzymały się, w przeciwnym razie... Corbett wolał o tem nie myśleć.

Zadłużył się, ale sytuację jakoś opanował. O ile nogą swoją nie bardzo się przejął, to ten ostatni wypadek wytrącił go z równowagi — Corbett nie znosił „nieprzewidzianego".

Nie wierzył w zabobony. Nie dopuszczał do siebie myśli, że jakieś niepowodzenie czy nieszczęście może być przywiązane do kogoś lub czegoś.

Owszem, wierzył w traf, przypadek, szczęście nawet — wykluczał jednak „pech".

Ale gdy w parę miesięcy po przyjeździe w nowowybudowanej willi, do której się miał wkrótce sprowadzić, zapadł się sufit, grzebiąc pod gruzami dwóch robotników — zawahał się.

Mimo wszystko i teraz nie mógł przypuścić, że jedyną przyczyną tych wszystkich nieszczęść jest — chińska waza.

Frank Corbett był jednym z tych zapalonych zbieraczy rozmaitych cennych cacek i oryginalnych przedmiotów, którzy często w niepokaźnej, nic napozór nieznaczącej rzeczy dopatrują się cudów świata.

Trudno mu było więc zdecydować się na rozstanie z piękną wazą.

Oceniano jej wartość na niesamowicie duże sumy. O kupno jej zabiegał niejeden prawdziwy znawca, ale Corbett nawet na

najponętniejsze propozycje i prośby był nieczuły.

* * *

Często lubił przeglądać swoje zdobycze z licznych wypraw na Wschód.

Zbiór ich był pokaźny i to nietylko pod względem ilości, ale przedewszystkiem prawdziwej wartości rzadkich albo wogóle niespotykanych przedmiotów.

„Unikaty!...“ — powtarzał często Corbett z zadowoleniem i nieukrywaną dumą.

Były tam piękne nargile tureckie, misterne tkaniny perskie, kolorowe strzały buszmeńskie, rzeźby z kości słoniowej (będące podobno kiedyś własnością królowej Saby), ale wszystkie te przedmioty były niczem wobec chińskiej wazy....

— — — — — — — —

I teraz właśnie Frank Corbett, zanurzony w fotelu swego gabinetu, podziwiał wytworną linję, delikatne rzeźby i olśniewające swym prymitywem malowidła tego cacka.

Patrząc na nie myślał, czy też to możliwe, aby była doń przywiązana jakaś moc sprowadzająca nieszczęście... jakieś przekleństwo...

Dzwonek telefonu przedarł brutalnie ciszę pokoju... Jakieś przeczucie ujęło w swe kleszcze Corbett'a.

Powoli podniósł słuchawkę.

Jak przez gęstą mgłę sączył się głos, który niby rozżarzony pręt, przepalał jego świadomość:

— Strajk górniczy!... Akcje bez wartości! Położenie bez wyjścia!... Bankr...

Słuchawka opadła.

Za oknem ulica tętniła życiem nerwowem, przyśpieszonem.

Szyba jest zimna — ale nie może ochłodzić rozpalonego czoła, a w czaszce ołów — rozpalony, wrzący ołów... i mózg się powoli roztapia....

Dał się słyszeć dzwonek u drzwi frontowych.

Corbett wie, co to znaczy.

Wchodzi służący i przynosi depeszę.

Frank jej nie czyta — wie przecież wszystko. „Bankructwo... bankructwo“ — huczało w głowie. Ręka kurczowo zmięła papier... Wybiegł!...

Nerwowe trzaśnięcie drzwi!...

Huk strzału rewolwerowego!...

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

Gdy lokaj w śmiertelnym strachu otworzył drzwi gabinetu swego pana — oczom jego przedstawił się niesamowity widok:

Pośrodku pokoju stoi jego chlebodawca, dr. Corbett, z rewolwerem w ręce...

Twarz ma pobladłą... usta zaciśnięte... a na podłodze leżą nieszczęsne szczątki... chińskiej wazy...

Chwila ogłuchłej... tępej ciszy...

Nagle wzrok Corbetta pada na zmiętą depeszę, którą trzyma w zaciśniętej dłoni.

Coś nim targnęło, czyta:

— — — wiedząc — o — pańskiem — katastrofalnem — położeniu — kupujemy — chińską — wazę — za — każdą — cenę — stop — — —

Frank chwieje się, błędnym wzrokiem ogarnia skorupy naczynia, wybladłą twarz służącego...

W głowie chaos i dzwony!...

Bezsilny pada na fotel...

——O——

Dokończenie ze str. 20-tej.

dość, a co przyniosło mu tylko zawód. Westchnął, wzruszył ramionami i spojrzał w stronę kościoła. Na ustach jego pojawił się uśmiech. Miłość i śmierć... Te dwie potęgi kierowały nim zawsze, wytyczały mu ścieżki żywota, kładły piętno na jego ciele i duszy. I zwyciężyła śmierć... Wzdrygnął się mimowoli, ale jakby wstydząc się chwilowej słabości, podniósł śmiało głowę w górę i skinął na kata, który stał opodal z obnażonym mieczem w ręku. Szepnął do niego kilka słów, a potem ukląkł, pochylając głowę. Oprawca podszedł bliżej i zawahał się. Nastała chwila oczekiwania. Zdziwiony Zborowski oglądnął się i dał znów znak katowi. Ten zebrał wszystkie siły. Żelazo zabłysło w powietrzu i głowa spadła na ziemię, odbijając się od niej trzy razy. A była to głowa Stefana!...

Rozległ się krzyk zgrozy. Nie wiem z czyjej wydarł się piersi i zapewne już nigdy się nie dowiem. Kiedy zbudziłem się z transu, a raczej, kiedy zbudziliśmy się wszyscy, ujrzałem, że pani Inez stoi przed stolikiem, sina, blada i wpół przytomna, trzymając w ręce miedziany pręcik. Drżała na całem ciele, a rysy jej twarzy wyrażały rozpacz i ból. Nie słyszałem uderzenia w szklaną kulę.

A więc nie było uderzenia w szklaną kulę? Więc eksperyment skończył się tylko dlatego, że nie mógł mieć dalszego ciągu?

Nie miałem czasu na rozważanie, jakkolwiek rozmaite myśli cisnęły mi się do głowy. Nie miałem czasu pospieszyć na pomoc zemdlonej Nelli, (którą zaopiekował się major Wieloch. Przerażone oczy moje spoczęły na leżącej na podłodze postaci mego przyjaciela Stefana. Podbiegłem do niego. Nie dawał znaku życia. Nie mogąc wyczuć pulsu, wsunąłem rękę pod jego ubranie. Serce już bić przestało. Podniosłem go i przy pomocy Rudeckiego położyłem na otomanie. Potem drżącemi palcami rozpiąłem mu koszulę i zdjąłem kołnierzyk. I wtedy na białej jego szyi ukazała się naszym zdumionym oczom czerwona, wąska pręga, która biegnąc dokoła, zdawała się dzielić głowę od karku... Pręga o wyglądzie tak charakterystycznym, że mimowoli sięgnąłem ręką, aby przekonać się, czy nie oznacza ona śladu katowskiego miecza...

Tak zakończył się ostatni eksperyment profesora Otta. Śmierć jego jest dla mnie zagadką, mimo orzeczenia lekarza, który stwierdził, że przyczyną jej była ostra niedomoga serca w następstwie wzruszenia. Może miał rację. Czasami zdaje mi się jednak, że gdyby pani Inez położyła kres doświadczeniu, uderzając pręcikiem w szklaną kulę i to zanim spadł miecz na głowę Zborowskiego, nie przyszłoby do katastrofy. Ale zdaje mi się, że widok Nelli i Stefana, jakkolwiek było to tylko złudzenie, zbudził w jej duszy wszystkie furje piekła, odebrał zdolność rozumowania, utwierdził w przekonaniu, że podejrzenia jej są uzasadnione i kazał pomyśleć o zemście. Zemsta! I ona była eksperymentem. Pani Barska nie wiedziała przecież, co się stanie, jeśli przeciągnie strunę i pozwoli na odegranie dramatu do końca. Ale eksperyment ten udał się. O ile to można nazwać udaniem. Hipotezy, że nieznająca dokładnie historji Polski żona mojego nieszczęśliwego przyjaciela, nie wiedziała, w jaki sposób kończy się dramat Zborowskiego, nie biorę wogóle pod uwagę. Mogła przecież przerwać widowisko nawet w ostatniej chwili.

Rzecz zrozumiała, że prawdy nikt z nas wyświetlić nie potrafi i że właściwa przyczyna śmierci Stefana pozostanie na zawsze tajemnicą. Tajemnicą pozostanie również, dlaczego kuzynka moja wystąpiła w ostatniej wizji profesora Otta w roli jego partnerki. Dowodziłoby to, bądź co bądź, jeśli nie fizycznej, to duchowej łączności między nią i Stefanem. Jestem pewny, że tak też zrozumiała to jego żona.

Obie kobiety nie zamieniły już ze sobą ani słowa. Pani Wittgenstein wyjechała zaraz po pogrzebie Barskiego do rodziny i w dwa lata później wyszła zamąż. Inez mieszkała jeszcze przez pewien czas w Krakowie. Umarła nagle, w styczniu 1928 roku. Bawiłem wówczas zagranicą....



ZROBIĘ TO SAMA!

przerobionego poprzednio. Dalej następują 2 oczka nawywrót i znów powtórzenie.

Przy wykonywaniu całości trzeba zwrócić jeszcze uwagę na obramowanie przodów kamizelki przy pomocy robionego odrazu szlaku nieco odmiennego od całości. Wykonuje się go: 1 oczko gładkie, 1 oczko nawywrót. Rząd drugi odwrotne: 1 oczko nawywrót, 1 oczko gładkie itd. Szlak ten jest szeroki na 3 cm.

Rękawy zaczyna się od szlaku, wykonując go na 3 cm szeroko, poczem przechodzi się do zasadniczego wzoru.

Kołnierzyk dorabia się po zeszyciu całości kamizelki, jako równy szlak szerokości 3 cm. Guziki drewniane obciąga się tą samą wełną, przy pomocy szydełka, samymi półsłupkami.



A oto próbka prążkowanego ściegu, którym wykonujemy kamizelkę.

KAMIZELKA NA DRUTACH

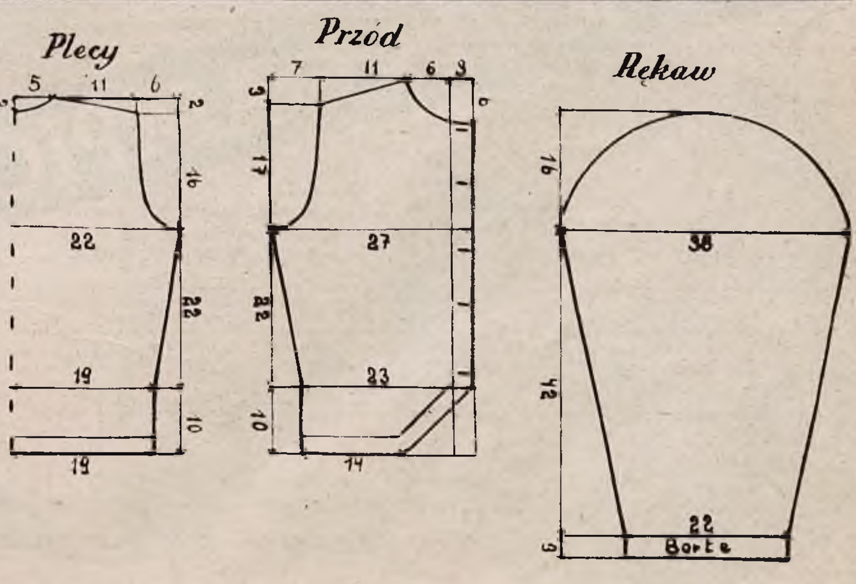
Prześliczny jest wzór techniki robótki na drutach, jaką wykonana jest kamizelka, którą widzimy na zdjęciu. Trzeba się najpierw wyćwiczyć na małej próbce, aby potem móc wykonać gładko i równo, a ponadto, aby sobie obliczyć ile oczek wypadnie na 10 cm, żeby dobrze rozliczyć wymiary do przygotowanego na daną figurę kroju. Podajemy ten krój w pomniejszeniu z proporcją wymiarów, które zwiększa się, zależnie od danej figury.

Wzór ten wykonuje się następująco: 2 oczka nawywrót, 1 oczko nieprzerobione, przeniesione z drutu na drut, 1 oczko dodane, 1 oczko gładkie. Te dwa ostatnie oczka przewleka się przez środek poprzednio nieprzerobionego oczka. Dalej znów 2 oczka nawywrót i ciąg dalszy jak poprzednio.

Drugi rząd zaczyna się od figurki z przekładaniem oczka, a więc: 1 oczko przenosi się nieprzerobione z drutu na drut, 1 oczko się dodaje, 1 oczko gładkie i dwa ostatnie oczka przewleka się przez środek oczka nie-

Powyżej: Kamizelka w prążki, zrobiona na drutach.

Na prawo: Schemat kroju kamizelki





VIS À VIS CAMPIONE JEST RAJ...

W moich wędrówkach po Szwajcarji nie mogłem ominąć jednej z najpiękniejszych tras kolejowych, która wiedzie przez przełęcz Gottharda na Południe — do słonecznych nizin Lombardji. Na tym słynnym szlaku znalazły się miejscowości, które stanowią prawdziwe klejnoty kantonu Tessin, a wśród nich perła południowej Szwajcarji — Lugano. Pojechałem tam już wówczas, gdy w mojej wyobraźni skrystalizowały się pod wpływem wielu opowiadań i obszernej lektury obrazy, pełne uśmiechów gorejącego słońca, najcudniejszych kwiatów i kobiet — istny raj na ziemi.

Zwykle tak bywa, że to co widziało się przez różowe okulary imaginacji — potem, oglądane już żywemi oczami, traci dużo ze swoich przereklamowanych blasków — staje się od pierwszej chwili dla nas czemś codziennem — czemś, co przyniosło nam zawód i rozczarowanie. Stajemy wówczas obojętni na widok tego, co w innych warunkach powinno wzbudzić w nas zachwyt, choć właściwie wszystko składa się na to, aby dać nam pełnię wyjątkowo pięknych wrażeń.

O Lugano i jego okolicy można nasłuchać się wiele. A mimo to każde określenie, każde porównanie okaże się niewystarczającem w chwili, gdy zjeżdżając ekspresem Gotthardskim z Monte Ceneri w dół kotliny Lugańskiej dostrzeżemy po raz pierwszy błękitną wstęgę jeziora, podobną do przepysznego turkusu o przedziwnym kształcie, oprawnego w soczystą zieleń lasów, opadających to stromo, to łagodnie z okolicznych gór. Wśród tej zieleni, niby uchwyty w oprawie klejnotu, przywarły do brzegów jeziora osady rybackie, z charakterystycznemi domkami z szarego ciosu, między którymi przewija się biały wąż drogi, biegnącej u podnóża Monte San Salvatore.

Bliżej trasy naszego zjazdu w kotlinę, a więc mniej więcej w samem sercu obszernej zatoki jeziora, rozsiadło się Lugano, które starą swą nazwę przekazało najbliższej okolicy. Imponująco przedstawia się to słynne uzdrowisko oglądane niby z lotu ptaka z pobliskich wzgórz. Kredowe budyneczki, rozsiane w obie strony zatoki Lago di Lugano, rosną w oczach podróżnego z każdą sekundą zbliżania się pociągu, by w końcu wystrzelić pod błękit nieba kształtami imponujących gmachów hotelowych dzielnicy Paradiso i budynków municypalnych, zachwycić oko barwną mozaiką setek luksusowych will, ukrytych w cieniu egzotycznych ogrodów Castagnoli.

Lądujemy na nowoczesnym dworcu, w pobliżu katedry San Lorenzo. Jedno spojrzenie w dół z obszernego placu kolejowego upewnia nas,



Łabędzie na jeziorze Lugańskiem.



Na lewo: Autostrada Gandria, biegnąca wzdłuż jeziora Lugańskiego do St. Moritz.



że tu właśnie jest serce starego Lugano. Ta dzielnica miasta (Lugano mimo swych 20.000 mieszkańców wygląda naprawdę po wielkomiejsku) pamięta jeszcze XV wiek, a więc czasy bliskie owego przełomowego momentu w historji Szwajcarji, gdy okoliczne ziemie Lugana zostały definitywnie przyłączone do Helwecji (r. 1516). Wąskie uliczki, opadające ku brzegom jeziora, kontrastują z wspaniałymi nadbrzeżnymi bulwarami, główną arterją tam znajdującej się nowej dzielnicy miasta. Stare budynki z podcieniami, ozdobne studnie na małych placykach, charakterystyczny bruk jezdni i chodników — wszystko to wygląda na obrazek jakby żywcem przeniesiony z serca starych



Na prawo w kole: Wieśniaczki z okolic Lugano, idące na targ z charakterystycznymi koszami pełnymi winogron.



Piękny typ mieszkanki Lugano, pochodzenia romańskiego.



Na lewo: Lugano w nocy - w głębi oświetlona trasa kolejk linowej na Monte S. Salvatore.



Poniżej: Plaża „Lido" z wspaniałemi urządzeniami kąpielowemi w Lugano — w głębi: Monte San Salvatore.

Zdjęcia: Zygmunt Borzęcki.



Włoch. Nad tą dzielnicą dominuje wspomniana już katedra San Lorenzo, której budowa ukończona została z końcem XV w. Słynie ona z marmurowej fasady, dzieła Tomasza Rodari. Wnętrze katedry ozdobione było licznemi freskami, z których część zachowała się do naszych czasów. Drugim zabytkowym kościołem jest Santa Maria degli Angioli, leżąca tuż obok bulwaru, na początku dzielnicy hoteli, Paradiso. Znajdujące się w tym kościele freski, a przedewszystkiem Wielka Pasja z przeszło 100-ma figurami pochodzi z pod pendzla Bernardino Luino (rok 1529).

Jak wspomnieliśmy, nowoczesnemi dzielnicami Lugana są Paradiso i Castagnola. Pierwsza z nich leży u podnóża Monte San Salvatore, której sylweta jest charakterystyczna dla krajobrazu lugańskiego, podobnie jak np. Góra Cukrowa dla panoramy Rio de Janeiro. W Paradiso znalazły pomieszczenie najbardziej luksusowe hotele i pensjonaty. Stamtąd wzdłuż brzegu ciągnie się słynna lugańska promenada, przeszło 2 km długa. Idąc nią, mijamy przystań statków, przeznaczoną dla tej dzielnicy — potem, paręset metrów dalej miejskie zakłady kąpielowe, sąsiadujące z drugą przystanią dla motorówek.

Dokończenie na str. 31-ej.

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA GRZYBOWO-PERŁOWA Z ŚMIETANĄ. Dwie łyżki drobnej perłówki oraz 10 dkg świeżych drobno pokrajanych grzybków zalewa się wodą i nastawia do gotowania. Grzyby świeże mogą być zastąpione suchemi. W wazie rozciera się żółtko z szczyptą soli i pieprzu oraz 1/4 litrem kwaśnej śmietany. Gotującą perłówkę z grzybkami wlewa się do wazy, pilnie mięszając, poczem dolewa się potrzebną ilość rosołu i wydaje zupę bez żadnych więcej dodatków.

OSTRA PRZYSTAWKA Z PARMEZANEM. 5 dkg masła rozpuszcza się na ogniu i wsypuje na nie 6 dkg mąki, zasmaża na złoty kolor, zalewa kilku łyżkami mleka i zagotowuje na gęstą, gładką masę. Do beszamelu dodaje się 3 żółtka roztarte z 4 łyżkami parmezanu, szczyptą soli i białego pieprzu i miesza z pianą z 3 białek. Osobno dusi się na maśle 15 dkg drobno pokrajanych grzybków z małą posiekaną cebulką, bez dodatku wody, aby grzybki były gęste. Do rynki kamiennej lub aluminjowej, natartej masłem, nakłada się uduszone grzybki, wlewa na wierzch masę beszamelową i zapieka w gorącym piecyku na rumiano. Podaje się w tem samem naczyniu, owiniętem serwetą.

PASZTET Z WĄTRÓBEK Z DROBIU. Dwie duże białe wątróbki gęsie lub 3 mniejsze, wkłada się na parę godzin do mleka, obciągnąwszy je przedtem z błony. Wyjęte, obsusza się ściereczką. Połowę wątróbek kraje się w cienkie plastry, resztę miele się z 5 dkg bielu i uciera z jajem, troszką soli i pieprzu oraz łyżką mąki i łyżeczką tartej bułki. Spód rynenczki lub formy wykłada się cienkiemi plastrami młodej słoninki, na to kładzie się warstwami farsz i plasterki wątróbki. Ostatnią warstwę stanowić mają plasterki słoninki. Szczelnie zamkniętą formę wstawia się do gotującej wody i gotuje na parze przez godzinę. Aby uniknąć pokruszenia pasztetu, wyjmuje się go z formy dopiero po zupełnem ostudzeniu.

LINY Z PIECZARKAMI. Oczyszczone z łuski i wymyte wewnątrz ryby kraje się w dzwonka, osypuje mąką, osmaża szybko na wrzącem maśle i wyjmuje na talerz. Na pozostałem maśle smaży się cienko pokrajaną cebulę, dodaje 10 dkg również cienko pokrajanych pieczarek i dusi pod pokrywą aż grzybki zmiękną, następnie wsypuje się łyżkę mąki, smaży z nią przez chwilkę, dolewa parę łyżek rosołu, ugotowanego z główek rybich i mały kieliszek madery, wkłada osmażoną rybę, przykrywa i dusi razem jeszcze około pół godziny. Linki wydaje się obłożone purée ziemniaczanem lub cienkim makaronem włoskim.

ZAJĄC NA ZIMNO Z PASZTETEM. Do tego celu nie bajcuje się zająca, lecz zaraz po oczyszczeniu szpikuje się go gęsto słoninką i piecze przy częstem polewaniu masłem przez godzinę lub trochę dłużej. Przodki i podróbka gotuje się osobno z kawałkiem tłustej wieprzowiny, cebulą i paru ziarnami jałowca, a kiedy mięso odchodzi już od kości, obiera się je i przepuszcza dwa razy przez młynek, potem przeciera przez sito. Do farszu tego dodaje się 4 twarde żółtka, utarte z dwiema łyżkami oliwy i łyżką francuskiej musztardy oraz sok z połówki cytryny, szczyptę soli i pieprzu. Z upieczonego zająca wyjmuje się ostrożnie kości, kraje w kawałki i składa napowrót na półmisku w całość. Farsz formuje się w kulki lub inne formy i okłada pieczeń dookoła. Wszystko oblewa się gęstym buljonem i zastudza. Półmisek ubiera się zieloną sałatą. Osobno sałatka majonezowa lub sos tatarski.

KISIEL Z ŻURAWIN. Przebrane żurawiny z listków białych ziarenek płucze się na sicie i osączone zesypuje do kamiennego garnka, zalewa wodą (na litr jagód litr wody) i rozgotowuje na ogniu. Dla aromatu dodaje się skórkę cytrynową lub kawałek cynamonu. Zupełnie rozgotowane żurawiny przecedza się przez gęste sito, odstawia szklankę soku, do reszty zaś dosypuje się 35 dkg cukru i zagotowuje. W odstawionym przestudzonym soku, rozkłóca się 6 dkg mąki ziemniaczanej i wlewa na gotujący sok, wśród ciągłego mieszania. Gotować się powinno 2—3 minut, poczem szybko gęstniejącą masę wylewa się do przygotowanej porcelanowej formy lub salaterki, wypłukanej zimną wodą i wysypanej cukrem. Zastudzony kisiel podaje się z słodzoną śmietanką lub dobrem mlekiem.

RAJSKIE JABŁUSZKA. Konfitura z tych drobnych, różowo-żółtych owoców jest bardzo smaczna i ładnie wygląda. Przed smażeniem należy jabłuszka nakłuć szpilką i rzucać zaraz do wody. Szypułek nie obrywać. Gotuje się je naprzód w samej wodzie powoli, aby nie popękały, następnie przekłada z gorącej do zimnej wody i pozostawia w niej przez noc. Po osaczeniu z wody, zalewa się je ciepłym syropem (cukru bierze się tyle na wagę, co owocu) i pozostawia w nim znowu przez 12 godzin. Na trzeci dzień, odlewa się syrop, dodaje jeszcze 25 dkg cukru (do 1 kg owocu) zagotowuje, a po zeszumowaniu wrzuca się jabłuszka i smaży bardzo powoli na małym ogniu przez 20 minut. Po wystudzeniu składa się konfiturę do słoja.

Sc. Ko.

NOWOŚCI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Obok przedstawione sprzęty gospodarstwa domowego, tj. wyciskacz do cytryny i porcelanowe tarełko są niezwykle praktyczne, a przedewszystkiem higieniczne. Wyciskacz posiada w pokrywce otworki, które czynią z niego równocześnie sitko, porcelanowe zaś tarełko jest bardziej higieniczne od metalowego — nie podlega bowiem zardzewieniu.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 43 — **Październik** — 31 dni



NIEDZIELA **16** Jadwigi ks. Śl.	Zupa grzybowa z śmietaną. Przystawka z parmezanem. Gęś pieczona z duszoną kapustą. Kisiel żurawinowy. Kolacja: Pasztet z wątróbki.
PONIEDZ. **17** Małgorzaty	Ziemniaczanka. Rizotto na podróbkach z gęsi. Polędwica wołowa z jarzynami. Kompot mieszany. Kolacja: Knysz /strudel z kaszą tatarczaną/.
WTOREK **18** Łukasza ew.	Rosół "Julienne". Sztuka mięsa, zapiekana w beszamelu. Kura z rosołu w sosie sardelowym. Śliwki smażone w cieście. Kolacja: Ruskie pierożki.
ŚRODA **19** Piotra z Alkant.	Zupa ogórkowa. Faszerowana kapusta. Rozbratle w maszynce z jarzynami duszone. Naleśniki z serem. Kolacja: Kalafiory z masłem.
CZWARTEK **20** Jana Kantego	Jabłczanka z grzankami. Omlety z szpinakiem. Kaczka lub kuropatwy z kluseczkami i czerwoną kapustą. Budyń z makaronu z jabłkami. Kolacja: Płatki z szynką.
PIĄTEK **21** Urszuli, Cel.	Zupa makaronowa na śmietanie. Budyń jarzynowy. Liny z pieczarkami z purée ziemniaczanem. Knedelki bułczane lub drożdżowe z marmoladą. Kolacja: Ryby wędzone.
SOBOTA **22** Korduli	Rosół z płatkami. Marchewka z grzankami. Gigot baranie z kapustą. Buchtle. Kolacja: Hachée z mięsa z saadzonem jajem.



HOCKI-KLOCKI

ŻYWY MODEL.



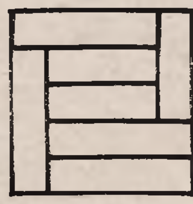
Służący do malarza: — Przynoszę panu z korespondencyjnej szkoły sztuk pięknych model do siódmej lekcji... „Esquire".

Rozwiązania z Nru 41-go.

SPADEK.

Kard otrzymał 3,456 owiec. Pewno niejeden Czytelnik znalazł najpierw ilość owiec, która przypadła Alfredowi, a od tego dopiero odjął 25% — ta metoda rozwiązania jest jednak błędna.

U STOLARZA.



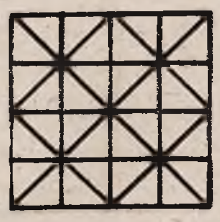
Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZAGADKA Z XVII WIEKU.

Oto zabawna zagadka, znana już w XVII wieku. Jeżeli woda cieknie z prawego oka bronzowego lwa, to basen wypełnia się wodą w ciągu 2 dni. Jeśli wodę puścimy z lewego oka, basen będzie pełny po trzech dniach. Jeśli woda cieknie z nozdrzy, basen napełnia się z końcem czwartego dnia, jeśli zaś płynie lwu z pyska, basen zapełnia się w ciągu 9 godzin. W jakim czasie basen wypełni się, jeśli woda będzie puszczona równocześnie przez wszystkie otwory?

ILE KWADRATÓW?



Proponujemy Czytelnikom, by po dokładnem przypatrzeniu się rysunkowi znaleźli wszystkie możliwe kwadraty, które się znajdują w tej figurze.

SKUTKI WYNALAZKÓW.



— Od czasu, kiedy mój mąż robił doświadczenia z telewizją, boję się poprostu ruszać po domu... „Esquire".

Dokończenie ze str. 29-tej.

Od wczesnego ranka wre tu życie, jak w ulu. Mieszkańcy pobliskich hoteli za stosunkowo wysoką opłatą stają się właścicielami na parę godzin, czasem na dzień cały małych zwinnych stateczków, które po opuszczeniu przystani błądzą po tafli jeziora niby różnokolorowe ptaki. Jazda taką motorówką należy do niebylejakich rozkoszy. Luksus jak w najbardziej nowoczesnej taksówce samochodowej, nie wyłączając radja, którego dyskretna muzyka uprzyjemnia taką wodną wycieczkę. Na promenadzie wznosi się też pawilon muzyczny, w którym koncertuje orkiestra zdrojowa. Ten szlak nadbrzeżny nie ma sobie równego w Europie, a swą malowniczością przewyższa znacznie okrzyczaną Promenade des Anglais w Nicei.

Po drugiej stronie zatoki, naprzeciw Paradiso rozsiadła się u stóp Monte Brè dzielnica willowa, Castagnola. Tam to znajdują się rezydencje możnych tego świata — najbardziej luksusowe pałace, każdy otoczony cudownym jak z bajki ogrodem, z własną przystanią nad brzegiem jeziora. A ponad Castagnolą wyniosły Monte Brè z licznymi hotelami na tarasach, upstrzonych różnokolorowymi parasolami kawiarń i restauracyj, do których wyjeżdża się kolejką linową.

Wieczorem, gdy noc rozpina swe czarne kotary nad jeziorem, widok z Monte Brè nabiera specjalnego uroku. Półkole zatoki zaczyna jarzyć się tysiącami świateł. Po stokach wzgórz pełzają wyiskrzone trasy kolejek linowych, a w głębi na horyzoncie, vis à vis Lugano wabi i kusi jego mieszkańców orgją różnobarwnych świateł słynne Campione — ziemia oblecana tych wszystkich, którzy pragną ujarzmić szczęście, uśmiechające się tam rzadko i do niewielu w blasku kinkietów „Casino Municipale".

Campione — to wąski skrawek ziemi, rozciągający się po drugiej stronie jeziora, w niewielkiej stosunkowo odległości od Lugano — bo dostać się tam można statkiem w ciągu niespełna 15 minut — stanowiący niejako wyspę na terytorjum szwajcarskiem, należącą do państwa włoskiego. Jest to swego rodzaju unikat, tłumaczący się lokalnymi stosunkami, a przedewszystkiem okolicznością, że chciano stworzyć w pobliżu Lugano, podlegającemu surowym prawom szwajcarskim — oazę dla tysięcy przybywających w te strony z całego świata kuracjuszy — eldorado, w którem panuje zupełna swoboda i do którego dostęp nie utrudniają żadne wizy ani paszporty. W Campione koncentruje się życie międzynarodowego high-life'u, które przewija się barwną wstęgą przez sale tamtejszego kasyna. Ruleta, baccarat, trente et quarante — gromadzą przy stołach tłumy graczy do białego rana. W Campione spędzają też weekend bogaci mieszkańcy Medjolanu, skąd jazda samochodem trwa niecałą godzinę. Można więc sobie wyobrazić, co się dzieje w każdą sobotę na tym małym skrawku ziemi... Istna wieża Babel!

A tymczasem vis à vis Campione, urocze Lugano emocjonuje się rozrywkami innego rodzaju. Tam wszyscy oddają się wypoczynkowi „na łonie" najpiękniejszej natury, korzystając z luksusowych urządzeń zakładów kąpielowych „Lido" u stóp Monte Brè, grając w golfa na wymarzonych terenach hotelowych, lub w tenisa na kortach, słynących w całej Europie, na których dwa razy do roku odbywają się międzynarodowe turnieje z udziałem pierwszych rakiet świata. Korty te wyposażone są w oświetlenie elektryczne, pozwalające na grę wieczorem, przy chłodnem powietrzu. Wspaniałe czytelnie umożliwiają zainteresowanym kontakt ze zdarzeniami na świecie przez abonowanie wszystkich pism, jakie wogóle się ukazują, a wszechstronnie wyposażone bibljoteki mogą obsłużyć najbardziej wybrednego czytelnika. W teatrach występują najlepsze siły, a koncerty odbywają się przy udziale słynnej w całej Szwajcarji, miejscowej orkiestry symfonicznej.

Ponad wszystkiem jednak góruje tam upojny czar przyrody, któremu każdy przybywający w te strony zaraz ulega. Niezwykle łagodny klimat powoduje, że Lugano i jego okolice obfitują w egzotyczną roślinność. Wolno rosnące palmy, pomarańcze i cytryny, całe masy magnolij, kamelij, glicynij, wśród nich drzewa migdałowe, gaje kasztanowe i niekończące się winnice toną w promieniach słońca, wiecznie się śmiejącego na błękitnej kopule nieba. Ten uśmiech życiodajnej planety wszedł w krew mieszkańcom tej błogosławionej krainy. Wykorzystują oni każdą okazję, by dać upust swemu temperamentowi, ognistemu, nigdy niezaspokojonemu. Takim przemożnym wybuchem wesołości — świętem śpiewu i tańca są słynne „Festa veneziana", podczas których Lago di Lugano zamienia się w najpiękniejszą bajkę. Jesienią odbywają się uroczystości winobrania, połączone z pochodami i corsem na bulwarach.

Centralne położenie Lugano umożliwia łatwe i szybkie zwiedzenie sąsiednich jezior: Lago Maggiore i Lago di Como, wraz z całą partją północnych Włoch (Medjolan). Zwolennikom bliższych wycieczek pozostaje okolica samego Lugano, obfitująca w wiele ciekawych zabytków. Należy do nich również piękny kościół w Morcote z pobliskim, starym cmentarzem, na którym spoczywa d'Albert i Moissi.

Zygmunt Borzęcki.

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

WARSZAWA. Dyr. Adwentowicz wprowadził na scenę Teatru Kameralnego nowego autora (podobno autorkę), występującego pod pseudonimem Zygmunta Rylskiego. W sztuce pt. **„Głębia na Zimnej"** p. Rylski ukazuje przeżycia szesnastoletniej dziewczyny w domu rodzinnym na wsi. Utwór wzbudził uznanie krytyki. W roli młodej panienki ujrzeliśmy p. W. Bartównę, która wywiązała się z niej bardzo dobrze, dając sylwetkę mocno narysowaną. Obok niej należy wymienić Adwentowicza w epizodycznej roli rybaka. Z innych wykonawców pp.: Wielandową, Kwaskowskiego, Cybulskiego, Miedzińską, Lipińskiego i Rubczaka.

KRAKÓW. Teatr im. Słowackiego wystawił nowość repertuaru paryskiego, sztukę Marcelego Acharda p. t. **„Korsarz"**, w przekładzie p. Zofji Jachimeckiej. Pomysłową oprawę dekoracyjną opracował p. Tadeusz Orłowicz. Reżyserował p. Wacław Radulski. W roli tytułowej wystąpił p. Janusz Ziejewski, dając wyrazistą i przekonywującą kreację. Jego wyborną partnerką była p. Romana Pawłowska jako wcielenie legendarnej Ewangeliny. — Z licznego zespołu należy wymienić pp. K. Szuberta (dyr. Ley), Helenę Brochocką (Kay Morgan), W. Woźnika (pirat Krystobal). Całe widowisko wzbudziło uznanie dla autora i wykonawców.

WILNO. Dyr. Pobóg-Kielanowski zrealizował na scenie teatru miejskiego **„Wyzwolenie"** Wyspiańskiego w oprawie dekoracyjnej pp. Kamili i Jana Golusów. Rola Konrada przypadła p. Juljuszowi Balickiemu, który wywiązał się z niej należycie. Mocne akcenty miał p. Nowosad, jako Genjusz.

ŁÓDŹ. Na otwarcie sezonu w teatrze Polskim wystawiono **„Cyrano de Bergeraca"** Rostanda, w reżyserji p. K. Borowskiego. Wykonawcą roli tytułowej był p. W. Krasnowiecki, który okazał tutaj w pełni swe możliwości aktorskie. Roksaną była p. Wilińska. Dekoracje p. Axera.

LWÓW. Tegoroczny sezon rozpoczął Teatr Wielki **„Gałązką rozmarynu"** Zygmunta Nowakowskiego, która w ubiegłym sezonie obiegła czołowe sceny polskie. W przedstawieniu lwowskiem wyróżnili się pp. Węgrzyn (Brzytewka), Suchecka (Sława), Surowa (Iskra), Machalski (Juhas). Dekoracje projektował p. M. Różański.

NOWE KSIĄŻKI

Edward Estaunie „Głos z za świata". (Rój) Pisarz, mający w dorobku 12 powieści był dotychczas u nas nieznany. Zresztą nie jest on zbyt popularny w ojczyźnie. A przecież ten pisarz, sięgający wzrokiem daleko poza ziemię, zapatrzony w wieczność, nie umie się, czy nie chce się reklamować.

W powieści „Głos z za świata" bohaterzy są zwykłymi, pospolitymi ludźmi, ale ich wzajemne stosunki komplikują się w tak niesłychany sposób, że tylko śmierć może je rozwikłać. Miłość matki do syna, ojca do córki doprowadzają do katastrofy. Bohater ginie w Legji Cudzoziemskiej, a zakochana w nim kobieta, która była przyczyną jego tragedji, idzie do klasztoru i tu umiera.

Ale najbardziej absorbuje autora zagadnienie, czy umarli oddziaływują na żywych, czy kierują ich czynami? — Ta hipoteza znajduje w powieści potwierdzenie: Świat umarłych ciąży na losach żyjących. Mimo tych metafizycznych tendencyj Estaunié nie odrywa się od życia. Jego powieść to — gra namiętności. **J. J.**

Andre Maurois: „Człowiek, który ważył dusze". „Książnica-Atlas". Literatura fantastyczna, oparta jednak na pseudonaukowych założeniach, tak ujętych, że wydawać się mogą sprawdzonemi i możliwemi, ma zawsze szeroki zastęp czytelników pod warunkiem, że powieści tego gatunku są pisane inteligentnie. Najlepszą jej legitymacją jest powołanie się na fakt niezaprzeczony, że najfantastyczniejsze pomysły pisarzy w rodzaju Verne'a, Wellsa czy niestety nieznanego u nas Robidy, powieściopisarza francuskiego, który fatazją przewyższył znacznie nawet Juljusza Verne — sprawdziły się niemal w zupełności w naszych oczach. Przecież podróże podmorskie, podróże dokoła świata w kilku dniach, torpedy powietrzne, wszelkiego rodzaju statki powietrzne, wojna gazowa, niewidzialne promienie śmierci, przedłużanie życia, ludzie-maszyny, sztuczne serca i niezliczona dalsza litanja tematów owych fantazyj literackich, to dzisiaj takie normalne rzeczy jak choćby radjo, które przecież wydawało się fantazją, a jednak było „przepowiedziane" chociażby przez poetę dekadenckiego Paryża, Crosa... Aeroplany, łodzie podwodne czy promienie śmierci — to głupstwo, ale przecież już mamy nawet serce, które wiecznie żyje dawno po śmierci osobnika, który niem kochał i nienawidził — a żyje w słoju laboratoryjnym i pulsuje, pulsuje wciąż... Można więc śmiało powiedzieć sobie, że literaci-fantaści są poprostu prorokami, opowiadającymi nam w zabawnej fabule o świecie, który przyjdzie... Może więc niedługo wypełni się także pasjonująca i niezwykle poetyczna, chociaż w makabrycznych akcesorjach, fantazja jednego z najwybitniejszych i najwszechstronniejszych w uprawianych gatunkach literackich, pisarzy francuskich, **Andrzeja Maurois**, fantazja przedstawiona w powieści **„Człowiek, który ważył dusze"**, wypuszczonej ostatnio na polski rynek przez **„Książnicę-Atlas"**. Pasjonująca ta opowieść o możliwości uchwycenia i zatrzymania do ewentualnych dalszych doświadczeń „duszy" zmarłego człowieka jest może przygrywką do tego, co w tej dziedzinie przyszłość nam przyniesie? Przecież nieraz już padało pytanie na temat, co dzieje się po śmierci danego osobnika z sumą energji myślowej i uczuciowej, wypracowanej w ciągu całego jego życia przez mózg? Książka Maurois należy w każdym razie do najszlachetniejszych utworów z owej dziedziny fantastycznej, potrącającej o możliwości nauki. **W. Z.**

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 16 października.

12.03 Poranek symfoniczny w wykonaniu Ork. Symfonicznej Pomorskiego Twa Muzycznego.
16.15 „Wesele księżackie" — słuchowisko regjonalne.
16.45 Józef Haydn „Jesień" — fragm. z oratorjum „Pory roku" — koncert.
21.00 Mozaika muzyczna — koncert.
21.40 „Woltyżerka Dropsy-Mops", Wesoła Syrena.

Poniedziałek, 17 października.

16.30 Recital fortepianowy Jana Bereżyńskiego.
17.15 Ze śpiewnika Moniuszki — koncert z Poznania.
18.30 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Ork. Rozgł. Wileńskiej.
21.00 Recital wiolonczelowy Maurice Marechala.
22.00 Koncert symf. — Transmisja z Paryża.

Wtorek, 18 października.

15.30 Muzyka obiadowa z Poznania na organach Wurlitzera.
16.25 Kamil Saint-Saens: Sonata klarnetowa op. 167 — koncert.
17.05 Pieśni w wyk. [illegible] Zawadzkiej.
19.00 Muzyka lekka i taneczna — w wyk. Małej Ork. P. R.
19.35 Koncert rozrywkowy z Berlina (zdjęcie dźwiękowe).
21.00 Koncert symf. z Wilna.

Środa, 19 października.

16.30 Recital śpiewaczy Mieczysława Grąbczewskiego.
17.15 Reportaże z baletów: „Polski królewicz na dworze Medyceuszów" — audycja słowno-muzyczna.
19.00 „Pociąg w nieznane" — koncert rozrywkowy.
21.00 Koncert chopinowski.
21.30 Wieczór autorski Stanisława Wasylewskiego.
22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela.

Czwartek, 20 października.

17.30 Recital śpiewaczy Aleksandra Michałowskiego.
19.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Małej Ork. P. R.
21.10 Koncert popularny w wyk. Ork. Rozgł. Wileńskiej.
22.00 Chór i zespoły wokalne opery „La Scala" (płyty).
23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, 21 października.

16.30 Pieśni Karola Szymanowskiego w wyk. S. Korwin-Szymanowskiej.
17.00 Minjatury kwartetowe — koncert z Poznania.
21.00 Chór Polskiego Radja.
21.15 Koncert Symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej. — Solista: **Mieczysław Münz** (fortepian). Dyrygent: Emil Cooper.

Sobota, 22 października.

16.30 Popołudniowy koncert symfoniczny.
19.15 Wiązanki operetkowe w wykonaniu Ork. Rozgł. Wileńskiej.
21.00 Koncert muzyki lekkiej i tanecznej.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.